

Od autora: Z dedykacją dla ludzi z Four Leaf Studios, których dzieło otworzyło mi szerzej oczy na problemy niepełnosprawnych.

W liceum ogólnokształcącym numer dwa im. Bolesława Prusa pierwszy czerwca był zwyczajowo dniem poświęconym szkolnym zawodom sportowym na świeżym powietrzu. Choć wielu uczniów tej szkoły traktowało je jako wymówkę, by zostać w domu z uwagi na brak odbywających się wówczas lekcji, bądź uważała, że bierne obserwowania wysiłków kolegów i koleżanek stanowi znacznie lepszą rozrywkę, niż branie udziału w jakiegokolwiek konkurencji, i tak każdego roku cieszyły się one niemałym zainteresowaniem. Dość powiedzieć, że na widownię szkolnego stadionu tego właśnie dnia ściągało wielu ludzi z miasta, lubujących się w obserwowaniu zmagania młodzieży, a nierzadko też przybywały delegacje z innych liceów, pragnących sprawdzić się z uczniami „dwójki”. To wszystko sprawiało, że pierwszy dzień czerwca, szumnie obchodzony w podstawówkach i gimnazjach jako Dzień Dziecka, w tej placówce zawsze kojarzony był z atmosferą sportowej rywalizacji i duchem walki, wypełniającym wszystkich skłonnych wziąć udział w którejkolwiek z wielu organizowanych wówczas konkurencji.

Nic więc dziwnego, że przez ostatni tydzień maja zawody stanowiły temat rozmów większości uczniów klas drugich, którzy – z uwagi na wcześniejsze zakończenie roku szkolnego przez maturzystów – już wówczas byli najstarszym rocznikiem w szkole, co składało na nich również najwięcej obowiązków związanych z organizacją całego wydarzenia. Rada uczniowska, współpracując z dyrekcją i nauczycielami, dokładała wszelkich starań, by w tamtym roku zostało ono zorganizowane z jeszcze większym rozmachem i starannością, niż w latach poprzednich. Chodziły słuchy, że – oprócz zawodników z kilku innych liceów w mieście – pojawią się też specjaliści goście z Krakowa. Nikt nie wiedział dokładnie, dlaczego ktokolwiek z pobliskiej metropolii miałby sobie zawracać głowę małymi zawodami w ich mieście, niemniej jednak wszyscy z niecierpliwością oczekiwali dnia, w którym miała mieć miejsce kolejna wielka impreza sportowa w dziejach szkoły.

Najbardziej popularne zdawały się być biegi, zwłaszcza krótkodystansowe. O ile bowiem rzuty oszczepem bądź kulą, skoki o tyczce, w dal i wzwyż czy nawet gry zespołowe nie cieszyły się szczególnie wielkim zainteresowaniem, o tyle w dyscyplinach, gdzie liczyła się przede wszystkim szybkość, udział brało, wyłączając uczniów rywalizujących szkół, większość wszystkich zawodników z liceum numer dwa w ogóle. Choć tradycyjnie punktem kulminacyjnym całego dnia była sztafeta, niewiele mniej emocji budziły zawody w biegu na sto metrów, będące bodaj najbardziej obleganą konkurencją. Inne szkoły również zawsze stawiały duży nacisk właśnie na nią, wybierając najszybszych i najbardziej zawziętych uczniów do wzięcia weń udziału.

Maciek, średniego wzrostu, acz dobrze zbudowany drugoklasista o niedługich ciemnoblonde włosach i niebieskich oczach, również nie mógł się doczekać dnia zawodów, a zwłaszcza tego krótkiego, ale też bardzo emocjonującego wyścigu, w którym sam zamierzał pobiec. Bardziej zaangażowany w sport niż w naukę, chętnie zapisał się do wzięcia udziału w kilku konkurencjach. Już w poprzedzającym roku udało mu się zablysnąć jako zwycięzca dwóch z trzech dyscyplin biegowych, w których wystartował. Teraz zamierzał poprawić swój rekord, wygrywając biegi na sto i dwieście metrów oraz umożliwiając jego liceum zajęcia pierwszego miejsca w międzyszkolnej sztafecie.

Dzień zawodów był ciepły i słoneczny, niemal bezchmurny. Już od samego rana na szkolnym stadionie i

jego trybunach panowało spore poruszenie związane z nadchodzącym wydarzeniem. Koło dziesiątej pojawili się delegaci z trzech pobliskich szkół ponadgimnazjalnych, witani gorąco przez dyrektora liceum numer dwa. Każda z grup zawodników przybyłych, by wziąć udział we wzajemnej rywalizacji, tłoczyła się w oddzielnych kątach stadionu, rzadko kiedy otwierając się na kontakt z uczniami innych placówek. Spodziewano się, że wkrótce rozpocznie się pierwsza konkurencja, jednak po powitaniu wszystkich gości, o których przybyciu było powszechnie wiadomo, nikt z dyrekcji ani ciała pedagogicznego nie ogłaszał jeszcze oficjalnego otwarcia zawodów. Maciek, który brał udział w biegach zaplanowanych w późniejszych godzinach dnia, siedział chwilowo na trybunach, przyglądając się reprezentantom innych szkół. Podobnie jak większość zgromadzonych, również był zaskoczony tym, że, pomimo obecności wszystkich spodziewanych uczestników, ceremonia rozpoczęcia wciąż się jeszcze nie zaczęła. Dla wielu jedynym wyjaśnieniem takiego stanu rzeczy była plotka o tajemniczych gościach z Krakowa. „Czyżby, pytano siebie nawzajem, faktycznie ktoś ma stamtąd przyjechać?”

W pół godziny od zjawienia się uczniów ostatniej z goszczących na zawodach lokalnych szkół informacja ta potwierdziła się. Pod budynek liceum zajechał autokar, z którego wysiadło, ku powszechnemu zdziwieniu wszystkich zgromadzonych, zaledwie kilkoro nastolatków i nastolatek, a oprócz tego z pięciu dorosłych opiekunów. Zazwyczaj delegacje przybywały z jednym nauczycielem, mającym pod swą opieką kilkunastu wychowanków, więc ta dysproporcja panująca w przybyłej grupie stanowiła obiekt powszechnych dyskusji zarówno wśród ludzi na trybunach, jak i zawodników zbitych ciasno w swoich kręgach na stadionie. Po powitaniu przyjezdnych przez dyrektora w megafonach zabrzmiał w końcu głos zapraszający wszystkich uczestników do udania się na środkową część stadionu i wysłuchania krótkiej mowy otwierającej zawody sportowe.

Jedynymi osobami niebędącymi pod wrażeniem tajemniczych gości było grono pedagogiczne liceum gospodarzy. Jednak uwaga pozostałych (zwłaszcza tych z sąsiednich placówek, do których najwyraźniej nie dotarły nawet pogłoski o planowanym przybyciu uczniów spoza miasta) była skupiona prawie wyłącznie na nich, szczególnie gdy zostali przedstawieni mętnie jako „młodzież z Krakowa”, bez podania choćby nazwy ich szkoły. Z jakiegoś powodu nie niepokoiło to jednak przybyszów, którzy stali spokojnie, nie zdradzając nawet cienia świadomości bycia obserwowanymi przez tyle par oczu.

Maciek odczuwał umiarkowane zainteresowanie zagadkową grupą. Gdy oglądał z trybun ceremonię rozpoczęcia i słuchał uroczystych słów dyrektora, krakowiacy, nie okazujący żadnego niecodziennego zachowania, powoli tracili u niego na znaczeniu. W końcu uznał, że nie ma sensu dłużej poświęcać im uwagi. Zszedł więc na dół i udał się w stronę boiska, by dołączyć do swoich kolegów, z których część przygotowywała się do pierwszej konkurencji: rzutu młotem.

- Jak nastroje? – spytał Maciek jednego chłopaka z sąsiedniej klasy, rozgrzewającego się przed rozpoczęciem otwierającej zawody dyscypliny, w której sam brał udział.

- Całkiem nieźle. Ci z jedyńki wyglądają na mocnych, ale z resztą powinniśmy sobie poradzić – odparł zapytany, nie przerywając ćwiczeń. – Zastanawiają mnie tylko te dzieci specjalnej troski, co przyjechały ostatnie. Nie wiem, skąd się tu wzięły i czy naprawdę liczą na to, że w cokolwiek wygrają. Jak dla mnie to jakaś banda dziwaków.

Maćkowi nie spodobało się określenie „dzieci specjalnej troski”, ale nie drażył tematu. Właściwie to sam podejrzewał, że ich goście z dużego miasta nie należą do najzwyczajniejszych ludzi. Zabrakło mu jednak okazji, by przyjrzeć im się na tyle uważnie, żeby wydawać jakiegokolwiek osądy, a nie należał do ludzi formujących je nazbyt pochopnie. Postanowił więc po prostu obserwować, jak będą przebiegać

zmagania w kolejnych dyscyplinach pomiędzy uczniami wszystkich konkurujących szkół, zanim zaczną przygotowywać się do swojego biegu.

Pierwszy rzucał młotem chłopak rozmawiający wcześniej z Mackiem. Wbrew nadziejom całej szkoły nie wyszło mu to najlepiej, więc odszedł na bok, skwaszony, nie chcąc z nikim rozmawiać o swojej porażce. Co prawda w tej konkurencji brał udział jeszcze jakiś pierwszoklasista, jednak nikt nie spodziewał się po nim wiele. Tak więc, gdy reprezentanci wszystkich placówek oraz kolejny zawodnik z liceum numer dwa oddali swoje rzuty, okazało się, że ich wyniki były najslabsze. Maciek i jego koledzy mieli więc ponure miny, gdy poszli, by obserwować kolejną dyscyplinę (skok o tyczce), do której już rozgrzewała się któraś dziewczyna z ich klasy.

Jednak w umyśle chłopaka pozostał obraz miotacza z krakowskiej grupy. Oddał dość dobry rzut, który zagwarantował mu trzecie miejsce. Tylko kilka rzeczy wydawało mu się w tym wszystkim dziwnymi. Po wywołaniu imienia ucznia z Krakowa przez megafon, obwieszczając tym samym jego kolej, jeden z licznych opiekunów, przybyłych wraz ze swą małą grupą, zbliżył się do wywołanego młodzieńca i zaprowadził go na miejsce, z którego miał rzucać. Zanim odszedł, zdawał się trzymać chłopca dłuższą chwilę za dłoń – a przynajmniej tak wyglądało to z daleka. Gdy zaś przyszła kolej na następnego zawodnika, jego poprzednik nie ruszył się, dopóki nie podbiegł do niego ten sam mężczyzna, co wcześniej, i nie odszedł z nim na bok. To wszystko sprawiało wrażenie, że ci młodzi ludzie faktycznie nie są tak do końca zwykli, jak można by sądzić na pierwszy rzut oka. Zwłaszcza, że – jak zauważył Maciek obserwując pozostałe dyscypliny – podobne sceny miały miejsce również podczas innych konkurencji.

Starając się, mimo wszystko, zaledwie tym nie przejmować, wkrótce rozpoczął przygotowania do biegu na sto metrów. Brało w nim udział jeszcze paru innych chłopaków z jego rocznika, jak również kilka dziewczyn, te jednak biegły całkiem oddzielnie. Ustawiając się na linii startu spostrzegł, że obok niego zajął już pozycję jeden z członków krakowskiej grupy. Czując się prawdziwym sportowcem, rzucił w jego stronę krótkie, acz szczere „powodzenia”, jednak tamten zdawał się tego nie zauważyć. Zanim Maciek zdążył się nad tym głębiej zastanowić czy choćby poczuć się urażonym byciem zignorowanym, nauczyciel nadzorujący bieg zadał w gwizdek, dając sygnał do zajęcia pozycji startowej. Gdy gwizdnął ponownie, zawodnicy ruszyli i rozpoczął się wyścig.

Kątem oka Maciek spostrzegł, że krakowiak zostaje trochę za nim, ale im dłużej biegli, tym mniejszy dystans dzielił ich od siebie. Nie chcąc przegrać, mniej więcej w połowie drogi znacząco zwiększył swoje tempo i zostawił w tyle nie tylko swojego sąsiada, ale również pozostałych przeciwników. W ten sposób pojawił się na mecie jako pierwszy, wśród aplauzu widowni oraz kolegów i koleżanek ze szkoły. Zadowolony z wygranej nie obejrzał się nawet na resztę współzawodników, zapomniał też zupełnie o chłopaku, który nie odpowiedział na jego życzenia nawet najdrobniejszym gestem.

Po chwili na linii startu zaczęły ustawiać się do swojego biegu na sto metrów dziewczęta. Choć sam przed chwilą zmęczył się solidnie na tej konkurencji, Maciek postanowił popatrzeć na zmagania płci przeciwnej. Ustawił się w pierwszym rzędzie gapiów zgromadzonych wokół bieżni, złożonych głównie z męskiej części zawodników swojej szkoły i zdążył akurat zobaczyć, jak na przenikliwy, niemal rozdzierający uszy dźwięk gwizdka zawodniczki rozpoczynają swój wyścig do mety. Po chwili na czoło stawki wysunęła się smukła, urodziwa dziewczyna o długich, czarnych włosach, spiętych z tyłu prawdopodobnie po to, by nie przeszkadzały jej podczas biegania. Uwagę chłopaka zwróciło jej dość szybkie tempo, które utrzymywała już od chwili startu. „Jak ona biegnie, pomyślał, zaraz się zmęczy i będzie musiała zwolnić”. Ku jego zaskoczeniu tak się nie stało: nastolatka nie tylko nie zdradzała oznak wyczerpania, ale w

dotadku zdawała się konsekwentnie jeszcze bardziej przyspieszać. Tak więc początkowy wyraz obojętnego lekceważenia na twarzy Maćka powoli ustępował zdziwieniu, a ono z kolei podziwowi, gdy zagadkowa dziewczyna pierwsza przekroczyła linię mety z – jak się okazało po chwili – najlepszym czasem w historii zawodów sportowych. Ten komunikat, ogłoszony przez megafony, usłyszał już jednak spod ściany trybun, gdzie udał się tuż po finiszu czarnowłosej, by przygotowywać się do kolejnego biegu – tym razem na dwieście metrów.

Niewielu uczniów biorących razem z nim udział w poprzedniej dyscyplinie zdecydowało się również na tą – głównie z powodu zmęczenia. Jednak jeśli chodziło o krótkie dystanse, Maciek czuł, że, jeśli by chciał, mógłby je przebiec bez problemu kilka razy pod rząd i każdorazowo zwyciężyć. Teraz również zajęł pozycję obok ucznia z krakowskiej grupy. Przyjrzał się mu bliżej. Z wyglądu nie różnił się niczym od normalnego nastolatka u progu dorosłości, wyraz jego twarzy również nie zdradzał niczego szczególnego. Nagły sygnał gwizdka wyrwał go z rozmyślań i Maciek szybko przyjął pozycję startową, by na drugie gwizdnięcie wystartować z dobrze wyważonym, niezbyt pospiesznym tempem. Tym razem pozwolił reszcie współzawodników wyprzedzić się na starcie, by dopiero po kilku sekundach biegu zacząć stopniowo przyspieszać. W ten sposób osiągnął swą maksymalną prędkość, gdy pozostali zaczęli odczuwać skutki zmęczenia i mogli tylko patrzeć, jak Maciek wyprzedza ich z gracją, a następnie znów zajmuje pierwsze miejsce. Kolejny raz spotkała go fala aplauzu ze strony pierwszo- i drugoklasistów swojego liceum, jak również zgromadzonych na trybunach mieszkańców miasta. Ponownie też zapomniał o swoim przeciwniku, który startował z ramienia zagadkowej grupy uczniów z Krakowa.

Gdy Maciek ochłonął chwilę, postanowił wrócić do większej grupy swoich kolegów, gromadzących się przy rozdającym napoje nauczycielu WF-u. Nie zaszczycił nawet spojrzeniem przygotowujących się do swojego biegu dziewcząt, ale zamiast tego pospieszenie zdobył dla siebie butelkę cudownie chłodnego izotoniku. Następnie usiadł w cieniu wraz z kilkoma znajomymi i rozkoszował się zasłużoną chwilą odpoczynku oraz pełnymi podziwu pochwałami i gratulacjami, jakimi raczyli go towarzysze.

- Ej, stary – spytał jeden z nich – ty masz zamiar biec jeszcze w sztafecie?

- No tak – przytaknął Maciek i pociągnął łyk odświeżającego napoju.

- Nie padniesz? Już tyle się nabiegałeś, a przez ten upał nawet ja nie mam na nic energii, chociaż jedyne, w czym brałem udział, to skok w dal – dorzucił drugi.

- Spokojnie – rzekł pierwszy z uśmiechem. – Maciek to cyborg, więc nic mu nie będzie. Mielibyśmy problem, gdyby w tych wszystkich biegach chciał wziąć udział normalny człowiek, ale tak to nie mamy się czego obawiać.

Uśmiechając się głupio z dennego żartu wszyscy jak jeden mąż wstali i ruszyli w stronę swojego nauczyciela WF-u, który gestem przywoływał ich i Maćka do siebie, a następnie razem z nim udali się na bieżnię.

Nadszedł czas na tradycyjnie zamykającą zawody sportowe sztafetę. Każda ze szkół wytypowała trzech uczniów, tym razem bez ograniczeń dotyczących płci. Podzielono bieżnię stadionu na trzy równe odcinki, na początkach których ustawiono zawodników. Maciek został przydzielony na ostatnią prostą, w nadziei, że nawet w najgorszym wypadku, jeśli jego poprzednicy zawiodą, będzie w stanie dogonić swych prze-

ciwników i zagwarantować jego szkole jeśli nie zwycięstwo, to chociaż jakąś godną pozycję.

I tym razem biegł obok reprezentanta grupy z Krakowa, mało tego – reprezentantem tym okazała się owa czarnowłosa nastolatka, którą widział wcześniej, jak wygrywa bieg na sto metrów dziewcząt. Gdy przyszedł na miejsce, jej opiekunka właśnie odchodziła w stronę trybun, zostawiając podopieczną zwróconą ku mecie, która w tej chwili stanowiła też linię startu. Nie bardzo wiedząc, czy powinien się w ogóle odzywać, po prostu stanął obok niej i wysłuchiwał nadawanego przez megafon komunikatu o rozpoczynającej się sztafecie. Tak naprawdę jednak jego słowa nie obchodziły go zaledwie – myślami był już przy wyścigu, rozważając wszystkie możliwe warianty przebiegu ostatniej konkurencji. W końcu nadszedł moment, w którym zawodnikom rozpoczynającym zasygnalizowano gwizdkiem komendę zajęcia pozycji. Kolejny gwizd i każdy z nich ruszył, ściskając w ręce pałeczkę sztafetową. Maciek obserwował uważnie, jak jeden z jego kolegów wysuwa się na prowadzenie. Pomimo radości z tego faktu zdawał sobie sprawę, że ta chwilowa przewaga nie oznacza przecież automatycznie zwycięstwa, więc oczekiwał na dalszy rozwój wydarzeń. Po chwili uczniowie otwierający stawkę przekazali dalej pałeczki i kolejna grupa ruszyła, dopingowana okrzykami ludzi na widowni, jak również obserwujących bieg spod trybun chłopców i dziewcząt oraz ich nauczycieli. Tym razem reprezentant liceum numer dwa został nieco w tyle, dając się wyprzedzić prawie wszystkim swoim przeciwnikom. Maciek zacisnął zęby – wiedział, że będzie musiał postarać się nadrobić tę stratę pozycji za wszelką cenę. Gdy w końcu dobiegł do niego spocony i zziębnięty kolega, z pałeczką wyciągniętą w jego stronę, złapał ją czubkami palców i w tym samym momencie wystartował z szalonym tempem. Chwilowo zostawił z tyłu tylko czarnowłosą krakowiankę oraz jakiegoś chłopaka z sąsiedniej szkoły, jednak szybko nadrabiał dystans dzielący go od tych, co wystartowali wcześniej. Kiedy prześcignął już wszystkich, obawa przed przegraną ustąpiła euforii i przedsmakowi zwycięstwa, którego był już absolutnie pewien.

Jednak kilkadziesiąt metrów przed metą zauważył kątem oka znajomą sylwetę. Obrócił delikatnie głowę w jej stronę i zobaczył tajemniczą czarnowłosą, która zaczęła go nagle doganiać. Nie chcąc dać za wygraną, Maciek próbował przyspieszyć jeszcze mocniej, ale poczuł, że osiągnął już swój limit i nie rozwinie większej prędkości. Z przerażeniem patrzył więc, jak przebijająca w nadzwyczajnym tempie nogami nastolatka zrównuje się z nim, przez jakiś czas biegnie obok, a następnie, tuż przed linią mety, wyprzedza go nieznacznie i pierwsza kończy wyścig, dając tym samym swojej szkole zwycięstwo.

Całe zdarzenie, od momentu przejęcia przez Maćka pałeczki do finiszu czarnowłosej, trwało zaledwie kilkanaście sekund.

Wśród idących w zwartej grupie uczniów liceum numer dwa panowały mieszane nastroje. Niektórzy byli zawiedzeni przegraną w najważniejszej konkurencji całych zawodów. Inni cieszyli się z tego, w jak wielu dyscyplinach ich szkoła zajęła pierwsze miejsca. Jeszcze inni byli zbyt zmęczeni i głodni, by myśleć o całym wydarzeniu, i z utęsknieniem oczekiwali poczęstunku organizowanego dla zawodników i ich opiekunów, jak również dla widzów obserwujących z trybun przez cały dzień zmagania młodzieży. Maciek i jego koledzy z klasy mieli raczej ponure miny. Choć nikt, może poza nim samym, nie obwinił go za porażkę, to jednak cała grupa nie była w stanie pozbyć się uczucia zawodu wywołanego tak niespodziewanym obrotem wydarzeń, który odebrał ich szkole pierwsze miejsce w sztafecie. Nie mówili więc między sobą zbyt dużo, ograniczając swe wypowiedzi do krótkich uwag dotyczących organizacji imprezy, upału oraz niecierpliwego oczekiwania na solidny posiłek.

Dopiero gdy zasiedli do jedzenia, rozluźnili się na tyle, by rozpocząć normalną rozmowę.

- Wiesz, Maciek – rzucił któryś z jego kolegów – ta laska, co cię wyprzedziła tuż przed metą, jest całkiem niezła. Ona jest z tej grupy z Krakowa, co nie?
- Taaa – odrzekł obojętnie zapytany.
- Nadal nie wiem, skąd się u nas właściwie wzięli – podjął inny – ale niektórzy z nich naprawdę niezłe dawali czadu. Nie tylko tamta, ale chociażby ten gość od nich, co rzucał oszczepem. Pamiętacie?
- To było mocne – przyznał kolejny. – Koleś nie wyglądał, jakby się mu w ogóle chciało starać. Po prostu podszedł, rzucił i bach, pierwsze miejsce. Skubany. Jeszcze nie widziałem takiego rzutu.
- Ta czarna – rzekł Maciek, postanawiając wziąć aktywny udział w konwersacji – robiła też sto metrów dziewczyn i wygrała. I jeszcze do tego pobiła rekord szkoły. Nie mam pojęcia, ile ona trenuje, żeby mieć taką siłę w nogach, ale trzeba przyznać, że biegać to umie.
- Pomruki aprobaty rozeszły się przy całym stole, który zajmowali w kącie szkolnej stołówki. Wokół nich siedzieli inni uczniowie ich szkoły, natomiast reprezentanci pozostałych placówek mieli przygotowane miejsca na drugim końcu sali. To sprawiało, że choć zgromadzeni dookoła Maćka drugoklasiści rzucali co i rusz ciekawskie spojrzenia w stronę krakowskiej grupy, nie mogli wypatrzyć spośród wypełniającego pomieszczenie tłumu dziewczyny, o której rozmawiali.
- Ale jak to się stało, że tak nagle cię wyprzedziła? – padło nagle pytanie. – Przecież wystartowała z całą sekundę po tobie, a ty pędziłeś już wtedy jak rakietą. Zmęczyłeś się pod koniec, czy jak?
- Sam nie wiem – odparł szczerze Maciek. – Myślałem, że już nikt mnie nie dogoni, a tu nagle zobaczyłem, jak mnie dopędza, i do tego cały czas przyspiesza. Ja też próbowałem, ale już nie mogłem szybciej, a ona najwyraźniej miała jeszcze zapas mocy. Muszę przyznać, że nie spodziewałem się czegoś takiego, i trochę mnie to zaskoczyło. W ogóle nie wiedziałem, co się dzieje, i zanim wziąłem się w garść, już była na mecie.
- Ale finisz to miała piękny – rzekł któryś z jego kolegów z rozrzewnieniem.
- Nie widziałem go zbyt dobrze – przyznał Maciek. – Jak dobiegłem do końca, już nie miałem nawet sił na nią patrzeć, bo myślałem, że padnę po tym biegu.
- Była niesamowita, mówię ci. Wpadła na metę, ale zamiast się zatrzymać, to wciąż biegła, jakby chciała zrobić kolejne okrążenie. A wszyscy zaczęli się podniecać, krzyzczeć i bić brawo, dopiero wtedy jakby się zczaiła, że to już koniec, ale jak się zatrzymała, w ogóle nie było widać po niej zmęczenia. Tylko tak stała sobie, cała dumna, w centrum uwagi. No a potem zgarnęła ją opiekunka i poszły sobie gdzieś.
- Ej, właśnie – rzucił chłopak siedzący z brzegu stołu. – Czy oni są jacyś niedorozwinięci, że nigdzie się nie ruszają bez tych swoich opiekunów? Ani nie pójdą sami, jak mają brać udział w jakiejś konkurencji, ani sami potem nie wrócą, tylko zawsze muszą ich wszędzie eskortować. Zauważyliście?
- Średnio mnie to obchodzi – stwierdził jego sąsiad.
- Może są ślepi – dorzucił jeden z chłopaków siedzący naprzeciwko nich. – W sumie to by wszystko tłumaczyło. Nie widzą, gdzie mają stanąć, by ustawić się do biegu, nie widzą oszczepów, którymi mają rzucać, i dlatego muszą ich prowadzić za rączkę i wszystko pokazywać.

- Ale czy ślepi w ogóle uprawiają takie sporty?
- A czemu nie? Przecież nie są kalekami, mają sprawne ręce i nogi, więc co stoi na przeszkodzie?
- Niby racja...
- A nie pomyśleliście – wtrącił Maciek – jakim cudem wiedzieliby, kiedy trzeba skręcić na bieżni podczas sztafety? Przecież musieli widzieć, że zbliża się zakręt, bo inaczej wypadliby za tor.
- Coś w tym jest... - pomruk zrozumienia rozległ się wśród jego kolegów.
- Poza tym – ciągnął dalej – wyglądali mi raczej na głuchych niż na ślepych. Gostek, z którym biegłem stówę, nawet się na mnie nie spojrział, jak powiedziałem mu „powodzenia”. Jakby w ogóle tego nie usłyszał. Nikt nie byłby na tyle chamski ani głupi, by nie zareagować na to w jakikolwiek sposób, jeśli miałby sprawny słuch.
- No to skąd w takim razie mieliby wiedzieć, że trzeba wystartować? – spytał chłopak siedzący naprzeciw niego. - Przecież nie było tak, że ruszali dopiero, gdy wszyscy inni zaczęli już biec. Musieli sami słyszeć sygnał do startu. Jak byliby do tego zdolni, nic nie słysząc?
- Dobre pytanie – rzekł Maciek po chwili konsternacji.

Nie będąc w stanie ustalić niczego w związku z reprezentantami nieznanej krakowskiej szkoły, zgromadzeni przy stoliku w kącie drugoklasiści zamilkli, poświęcając całą swą uwagę jedzeniu, które mieli na talerzach. Nawet ci, którzy nie brali udziału w żadnej konkurencji, byli już porządnie wygłodzeni, i z namaszczeniem oraz wyrazem błogości na twarzach przeżuwali kolejne kęsy szkolnego obiadu, który zdawał się smakować znacznie lepiej, niż zazwyczaj. Być może był to wpływ wyjątkowości tego dnia, a może po prostu kucharki specjalnie się postarały przyrządzić coś smaczniejszego, by wywrzeć dobre wrażenie na gościach. Bez względu na przyczynę takiego stanu rzeczy wszyscy zgromadzeni na stołówce jedli ze smakiem, wypełniając brzuchy, w których od rana szerzyła się coraz większa pustka.

Kiedy Maciek i jego koledzy skończyli w końcu jeść, postanowili udać się z powrotem na stadion, by tam poczekać na udekorowanie zwycięzców. Szli tam z dobrymi humorami, zapominając o porażce w sztafecie, rozmawiając tym razem o dwóch biegach, w których reprezentant ich szkoły odniósł tak wspaniałe zwycięstwa. Jako że byli jednymi z pierwszych, którzy skończyli swoje porcje i wyszli ze szkoły, stali przez pewien czas beczynnym pod trybunami. Od czasu do czasu wymieniali kilka błahych uwag pomiędzy sobą i milknęli znowu, by zapatrzeć się na swoje liceum, z którego coraz większym strumieniem zaczęli wychodzić nasyчени widzowie i młodzi sportowcy, jak również opiekunowie tych ostatnich. Po pewnym czasie towarzysze Maćka – jako że żaden z nich nie zajął wysokiego miejsca w jakiegokolwiek konkurencji i nie mieli zdobyć żadnych odznaczeń – pożegnali go i popędzili na trybuny, gdzie, jak uznali, mogli mieć lepszy widok, niż z poziomu stadionu. Gdy więc chłopak został sam, zaczął spoglądać niedbałym wzrokiem na zgromadzonych naokoło gości z innych szkół, jak również zwycięzców paru dyscyplin z jego własnej. Nagle spostrzegł stojącą w pewnym oddaleniu od swojej grupy czarnowłosą zwyciężczynię sztafety. Rozpoznał ją, choć teraz jej włosy były rozpuszczone, a nie spięte, jak w trakcie właściwej części zawodów. Pchany nagłym impulsem wywołanym mieszanką podziwu nad jej kondycją, szacunku należnemu zwycięzcy oraz zwykłej, ludzkiej ciekawości, podszedł, stanął naprzeciwko niej i powiedział:

- Gratuluję wygranej w sztafecie. Nie sądziłem, że mnie prześcigniesz. Biegłaś naprawdę fenomenalnie.

Dziewczyna nie poruszyła się nawet. Choć w pierwszej chwili mógł zwalić brak jakiegokolwiek reakcji z jej strony na karb ich niemal równego wzrostu, który nie wymagał od niej zmiany pozycji głowy, by sprawić wrażenie, że zwróciła uwagę na jego słowa, to po upływie kilkunastu sekund milczenia Maciek zaczął czuć się dziwnie. Zachowywała się tak, jakby wokół niej nie było absolutnie nikogo, kto by się właśnie do niej odezwał i oczekiwał jej odpowiedzi. Po pewnym czasie niezręcznej dla Maćka ciszy dziewczyna zaczęła kręcić głową w prawo i w lewo, co prawda bardzo nieznacznie, acz z wyraźnym zaniepokojeniem, jakby kogoś spodziewała się zobaczyć, ale ten ktoś nie przychodził. Nie wiedząc, czy w tej sytuacji powinien udać, że całe zdarzenie nie miało miejsca i po prostu się wycofać, czy raczej spróbować znów zwrócić na siebie jej uwagę, stał tak jeszcze przez jakieś pół minuty, aż w końcu z boku dobiegł go ciepły, kobiecy głos:

- Przepraszam, chciałeś powiedzieć coś Ani?

- Cóż... tylko pogratulować zwycięstwa w sztafecie. Ale... - Maciek zająknął się.

- Rozumiem, o co ci chodzi – odrzekła niespodziewana rozmówczyni, która okazała się być jedną z opiekunek krakowskich uczniów. – Bardzo cię za to przepraszam, pewnie poczułeś się głupio. Widzisz, Ania jest głuchoniewidoma. Ale mogę jej przekazać twoje słowa, jeśli chcesz.

Kobieta patrzyła z wyrazem uprzejmego oczekiwania na osłupiałego Maćka, który po chwili zorientował się, że przeciąga milczenie zbyt długo. Pokręcił więc głową, bąknął „przepraszam za kłopot” i odszedł tak szybko, jak tylko pozwalała mu na to przyzwoitość.

Podczas ceremonii zakończenia zawodów, przed wręczeniem odznaczeń zwycięzcom poszczególnych konkurencji, dyrektor liceum numer dwa przedstawił w końcu dokładniej osnutych do tej pory tajemnicą gości. Okazali się być uczniami oraz wychowawcami w ośrodku dla dzieci upośledzonych wzrokowo i słuchowo. Młodzież ta, pragnąca pomimo swej niepełnosprawności rozwijać się jak najlepiej psychicznie i fizycznie, wyprosiła u dyrekcji swojego ośrodka pozwolenie na udział w normalnych zawodach sportowych. O ile jednak w dużym mieście byłoby to bardzo trudne do zorganizowania, to w tej małej miejscinie pod Krakowem, gdzie co roku organizowano imprezę tego rodzaju, w dodatku zawsze otwartą na dodatkowych uczestników, udało się odnaleźć idealne miejsce do spełnienia marzeń młodych głuchoniewidomych. Dzięki temu, że dano im szansę na zmierzenie się z w pełni sprawnymi nastolatkami, mogli przekonać siebie oraz innych, że utrata wzroku i słuchu nie oznacza automatycznie wykluczenia możliwości brania udziału w normalnej, sportowej rywalizacji oraz osiągnięcia w niej sukcesów.

Gdy dyrektor opowiadał o tym wszystkim, zgromadzeni uczniowie lokalnych szkół słuchali jego słów ze zdumieniem, nie mogąc uwierzyć, że ich niecodzienni goście byli pozbawieni dwóch najważniejszych zmysłów, a mimo to radzili sobie niegorzej we wszystkich dyscyplinach, w których brali udział. Co i rusz rzucano w ich stronę spojrzenia, nie ciekawskie jednak, jak na ceremonii rozpoczęcia, ale przepęłnione raczej zdumieniem, a często też i współczuciem. Spora część zawodników spoza krakowskiej grupy zdradzała również pewien rodzaj podziwu dla tych ludzi, którzy przyjechali dziś do ich miasteczka i, nie zdradzając się zbyt widocznie ze swoją niepełnosprawnością, rywalizowali z nimi jak równi z równymi, jakby nic ich w tym nie ograniczało. Widownia na trybunach również zdawała się być poruszona. Choć dla nikogo nie było tajemnicą, że z tymi z Krakowa jest coś dziwnego, nikt nie przypuszczał, iż mogą być

aż do tego stopnia pokrzywdzeni przez los.

Widząc, że przemowa wywarła właściwe wrażenie na słuchaczach, pryncypał przeszedł do rozdania odznaczeń. W każdej konkurencji (poza sztafetą, w której nagrodę otrzymywał tylko zwycięzca) nagradzano trzech zawodników z najlepszymi rezultatami, wręczając im, oprócz dyplomów, złote, srebrne i brązowe wieńce laurowe – zależnie od zajętego miejsca. Dekorowano nimi skronie uczniów, jednak zdecydowana większość traktowała to bardziej jako tradycyjny rytuał, niż faktyczne wyróżnienie. Inaczej miała się sprawa w przypadku głuchoniewidomych uczestników zawodów, którzy, wywoływani przez megafony oraz przyprowadzani do dyrektora liceum numer dwa przez któregoś z opiekunów, przyjmowali z jęgo łąk symbole ich sukcesów z wyraźną radością wypisaną na twarzach.

Maciek, który stał bliżej podwyższenia, na którym odbywało się odznaczanie zwycięzców, zamyślił się głęboko zarówno nad słowami usłyszanej przed chwilą przemowy i reakcjami na nią otaczających go ludzi, jak również nad własną stycznością z jedną z tych niepełnosprawnych nastolatek. Otrząsnął się trochę, słysząc własne nazwisko i poszedł odebrać wyróżnienie za zwycięstwo w biegu na sto metrów. Pierwsi swoje odznaczenia odbierali chłopcy, dopiero po nich przywoływane były dziewczęta. Tak więc, kiedy nagrodzeni schodzili z powrotem na murawę boiska umiejscowionego w środku stadionu, gdzie odbywała się ceremonia zakończenia, Maciek minął się z idącą odebrać swój dyplom oraz wieniec ślepą i głuchą dziewczyną, prowadzoną przez tą samą sympatyczną opiekunkę, co wcześniej. Przyjrzał się wówczas nastolatce raz jeszcze: miała sięgające talii proste, kruczoczarne włosy, lśniące w świetle chylącego się powoli ku zachodowi słońca; była niewiele niższa od niego, jednak sprawiała wrażenie większej i mocniejszej, nawet pomimo szczupłej budowy ciała; jej twarz, roześmiana teraz i miotająca ciepłe iskierki z niewidzących, zielonych oczu, cechowała się delikatnymi rysami, które podkreślał mały, prosty nosek. Jego uwagę zwróciły również długie, chude nogi oraz średniej wielkości biust, który przy posturze krakowianki zdawał się być cokolwiek mniejszy, niż w rzeczywistości.

Gdy dziewczyna została za nim i z pomocą swojej opiekunki wspięła się na podwyższenie, Maciek odwrócił się i patrzył, jak czarnowłosa wyciąga niemrawo rękę w stronę dłoni dyrektora, którą uściśnięła, odnalazszy ją w końcu po chwili niepewnego błądzenia kończyną w powietrzu. Uśmiechnęła się, czując, jak zostaje jej wręczany dyplom, a na znak swej towarzyszki pochyliła lekko głowę. Wówczas na jej skroniach został umieszczony złoty wieniec z liści laurowych. I choć dyplom stanowił zwyczajny kawałek zadrukowanego papieru, który różnił się od podobnych mu świstków wręczanych innym uczniom jedynie drobnymi szczegółami, a ozdobne laury były pomalowanymi na złoto kawałkami plastiku, fakt zdobycia tych odznaczeń zdawał się sprawiać jej ogromne szczęście. Być może było tak z powodu jej nieświadomości ich banalnego charakteru, a może z uwagi na to, że uczucie zwycięstwa zyskało dla niej dzięki tym przedmiotom nowy, namacalny wymiar – tak bardzo istotny, zważywszy na jej niepełnosprawność.

Tak samo jak przy odbieraniu własnych wyróżnień Maciek nie zwracał uwagi na bijących mu brawa ludzi, również i teraz zignorował aplauz skierowany do dziewczyny, która przecież prawdopodobnie i tak nie zdawała sobie z niego sprawy. Oklaski zdawały mu się być jakoś nie na miejscu, podobnie jak większość rzeczy, tak typowych przecież dla corocznych zawodów odbywających się w tej szkole, które jednak tego dnia, przy takich gościach, wydawały się dziwnie niepasującymi. Nie miał pewności, czy było tak z powodu nietypowej atmosfery, która zapanowała po ogłoszeniu charakteru placówki, w której uczył się ci młodzi ludzie z Krakowa, czy też z uwagi na własny, dziwnie melancholijny nastrój oraz niespodziewany natłok myśli związanych z czarnowłosą i jej przypadłością. Przyłapał się na tym, że właściwie fakt, iż ta niepełnosprawność dotyczyła przecież również pozostałych członków tej niecodziennej grupy,

nie obchodzi go aż tak bardzo. Zaczął się więc zastanawiać, czy jego stan psychiczny wynikał z tego, że nagle zdanie sobie przez niego sprawy z głuchoślepoty tej pełnej wdzięku nastolatki złało się z jego podziwem względem niej, tworząc mieszanekę pełną nieokreślonej emocjonalnie zadumy nad tak ciężkim losem pięknej nieznanym.

Jak we śnie poszedł raz jeszcze odebrać z rąk dyrektora dyplom i wieniec – tym razem za zajęcie pierwszego miejsca w biegu na dwieście metrów, w którym najwyraźniej czarnowłosa nie brała już udziału. Skupił się dopiero, gdy zobaczył ją wchodzącą z uśmiechem na twarzy na podest, by przyjąć odznaczenie za zwycięstwo w międzyszkolnej sztafecie. Tym razem oklaski publiczności oraz pozostałych zawodników były znacznie bardziej energiczne, a po paru dziwnych ruchach ręką, jakie jej opiekunka wykonała, dotykając dłoni dziewczyny, głuchoniewidoma pokraśniała z radości jeszcze mocniej, kłaniając się przy tym delikatnie publiczności na wszystkie strony. Maciek musiał przyznać, że była w owej chwili jeszcze bardziej urocza, niż wydawała mu się wcześniej. Niestety nie mógł oddawać się rozmarzaniom zbyt długo, bo oto dyrektor jego szkoły ogłosił wszem i wobec oficjalne zamknięcie tegorocznych zawodów sportowych, dziękując wszystkim za przybycie oraz zapraszając ich również za rok. Tak więc czarnowłosa wraz ze swoją grupą udała się w stronę czekającego już pod szkolną bramą autokaru, a pozostali albo zbierali się w małe grupy, by jeszcze porozmawiać, albo rozchodzili się powoli na ulicę bądź – w przypadku nauczycieli i niektórych uczniów – kierowali się ku budynkowi szkoły. Jednak Maciek stał samotnie i patrzył tępo za oddalającymi się sylwetkami krakowian. Gdy już prawie wszyscy z nich byli usadowieni w busie, nagle coś jakby się w nim obudziło i podbiegł prędko do jednego z pilnujących głuchoniewidomą młodzież opiekunów.

- Przepraszam – zagadnął go, lekko zdyszany.

- Słucham? Mogę w czymś pomóc? – zapytany odwrócił się do niego i spojrzał z wyrazem uprzejmego oczekiwania na twarzy.

- Chciałem się tylko dowiedzieć... skąd, no... jak się nazywa ta szkoła, z której państwo przyjechali – wypalił Maciek, niewiele myśląc. Obawiał się, że jego prośba zostanie odebrana jako oznaka nieuważnego słuchania przemówienia dyrektora (który, jak chłopak mętnie sobie przypominał, zawarł w niej odpowiedź na jego pytanie), jednak mężczyzna, którego zaczepił, uśmiechnął się nieznacznie i wyciągnął z kieszeni wizytówkę.

- Jeśli byłbyś zainteresowany kontaktem z nami bądź z naszymi wychowankami, nie krępuj się – rzekł, przekazując mu mały skrawek papieru. Następnie pożegnał się z nim grzecznie i wsiadł do autokaru, który ruszył po chwili, zostawiając budynek liceum numer dwa za sobą.

Trzymając papierowy prostokącik jak talizman, Maciek powlókł się do domu. Tam, zdawszy rodzinie pokrótce relację z całego dnia (nie wspominając tylko zbyt wiele o gościach z Krakowa), poszedł do swojego pokoju, wykręcając się od dalszych opowieści zmęczeniem. Położył się na łóżku i, patrząc w sufit, rozmyślał o zawodach, głuchoniewidomych nastolatkach oraz ich zmaganiach, ale przede wszystkim – o czarnowłosej dziewczynie, która prześcignęła go w sztafecie, nie mając sprawnego ani wzroku, ani słuchu.

„Anna... tak miała na imię?” – pomyślał i zamknął oczy, starając się odtworzyć w pamięci obraz jej twarzy.

Ulice Krakowa, wyjątkowo niezbyt zatłoczone tamtego piątkowego popołudnia, przesuwały się szybko za oknami przebijającego się przez centrum tramwaju. Maciek, ubrany w dżinsy oraz białą koszulkę z krótkimi rękawami, siedział gdzieś w środku wagonu i patrzył na poruszające się po jezdni samochody z wyrazem zamyślenia na twarzy. Choć minął już prawie miesiąc od zawodów, wciąż nie mógł wyzbyć się tego dziwnego uczucia, które ogarnęło go tamtego dnia i do tej pory nie dawało mu spokoju.

Czy była to ciekawość? A może podziw? Cokolwiek pchało go do miejsca, gdzie mógł spotkać raz jeszcze urodziwą, nieznajomą nastolatkę, której wdzięk i talent sportowy pociągały go, a cechujące ją kalectwo wzbudzało swoisty niepokój, było dostatecznie mocnym impulsem, by zdecydował się tam pojechać. Po wielu rozmyślaniach na ten temat doszedł do wniosku, że prawdopodobnie jego głównym źródłem jest nie sama niepełnosprawność Anny, ale raczej to, jak pomimo niej udaje jej się prowadzić na tyle normalne życie, by nie musiała rezygnować z czegoś takiego, jak wzięcie udziału w prawdziwych biegach z prawdziwymi przeciwnikami. I jak, będąc głuchoniewidomą, potrafiła pokonywać ich z taką łatwością, choć przecież nikt nie traktował jej ulgowo.

Nie miał pojęcia, dlaczego to wszystko wzbudzało w nim raczej negatywne, niż pozytywne odczucia. Wszak zdolność do pokonywania takich przeszkód, których on nie potrafił sobie nawet wyobrazić, była tak naprawdę wielką chlubą tej dziewczyny. Coś w tym jednak było takiego, czego nie mógł ogarnąć rozumem: jak ona może być tak normalna, będąc tak nienormalną? Te myśli przelatywały mu przez głowę, gdy siedział nieruchomo w sunącym po szynach tramwaju, jednak szybko je od siebie oddalił.

„Nie jest nienormalna, idioto”, skarcił samego siebie. „Jest tylko niepełnosprawna, a to ogromna różnica. Nie myl prostych pojęć”.

Mimo to jej głuchoślepotą cały czas nie dawała mu spokoju. Choć miał przecież świadomość istnienia ludzi, którzy obywali się w życiu bez wzroku albo słuchu, fakt możliwości choćby względnie normalnego egzystowania, nie mając sprawnego żadnego z tych zmysłów, był czymś zupełnie dla Maćka niepojętym. Czy więc w końcu, poza pragnieniem ponownego spotkania Anny (która – czego sam przed sobą wcale nie ukrywał – zaintrygowała go na zawodach tak mocno, że nie mógł od tamtego czasu przestać o niej myśleć) kierowała nim również chęć przekonania się, jak ludzie z takim problemem jak jej radzą sobie na co dzień? Nie był o tym tak do końca przekonany. Prawdopodobnie, jak zwykle, prawda leżała gdzieś pośrodku, ostatecznym bowiem argumentem, którym przekonał samego siebie do odwiedzenia ośrodka dla głuchoniewidomych było to, że mógłby w ten sposób lepiej poznać nie tylko osobowość, ale i sposób życia ciemnowłosej dziewczyny, który również nie był mu obojętny.

Była tylko jedna rzecz, o której nie pomyślał: o czym mieliby ze sobą rozmawiać? Idąc tym tropem – sam fakt, że ktoś taki jak on, zupełnie obcy jej człowiek, którego istnienia mogła być całkiem nieświadoma, pojawia się nagle u niej i pragnie zamienić kilka słów, wydawał się być śmieszny. Co go właściwie łączyło z tą nastolatką? Wspólnie przebiegnięty bieg, w którym go pokonała, nie wiedząc pewnie nawet, że pędził na torze obok? Nieudana próba rozmowy, z której też prawdopodobnie nie zdawała sobie sprawy? Nie – Maciek dobrze wiedział, że tak naprawdę nie mają ze sobą nic wspólnego. Jednak mimo to wciąż czuł się z nią w jakiś niejasny sposób związany. Choć nie wydawało mu się, że darzy ją jakimś szczególnym uczuciem czy specjalnymi względami, z pewnością nie mógł powiedzieć, że była mu obojętna. To wystarczyło, by mógł chociaż pozwolić dać sobie szansę. Zawsze przecież może wrócić do domu i nie kłopotać jej więcej swoją osobą.

Starając się oddalić od siebie te myśli, skupił się raz jeszcze na mapce, którą zabrał ze sobą, by łatwiej trafić na miejsce. Odszukał zaznaczony na niej punkt symbolizujący cel jego wyprawy, i raz jeszcze

sprawdził adres na wizytówce. Następnie westchnął i wysiadł na następnym przystanku, by przesiąść się do autobusu jadącego bardziej w stronę, w którą się udawał.

Po kilkudziesięciu kolejnych minutach podróży w różnych środkach komunikacji miejskiej stanął w końcu przed otwartą bramą ośrodka szkolno-wychowawczego dla dzieci głuchoniewidomych. Nie przypominał on raczej standardowej szkoły. Był to rozległy, dwupiętrowy budynek z czerwonej cegły, pod którego oknami rozciągał się mały, kwiatowy ogródek. Starannie przystrzyżony trawnik zajmował całą przestrzeń pomiędzy ceglana konstrukcją a prostym, żelaznym ogrodzeniem ograniczającym teren placówki i ciągnął się też w głąb położonych z tyłu, niewidocznych zbyt dobrze z ulicy błoni. Tu i ówdzie porozmieszczane były na nim szerokie ławki z niskimi, zaokrąglonymi oparciami. Ogólne pierwsze wrażenie, jakie wywarło na Maćku to miejsce, było dość pozytywne. Próbując przez chwilę nie zastanawiać się nad tym, w jaki sposób poprowadzić rozmowę z czarnowłosą czy też od czego powinien ją zacząć, wziął głęboki wdech, poprawił zwisający mu z ramienia plecak i ruszył przecinającą zieloną trawę, zakręcającą lekko kostkowaną ścieżką w stronę drzwi wejściowych, umiejscowionych z prawej strony budynku.

Wszedłszy do niedużego, jasnego holu zauważył mieszczącą się w kącie naprzeciwko drzwi recepcję, przy której siedziała starsza pani w okularach. Już od progu powitała go uprzejmym „dzień dobry”, na które Maciek odpowiedział cokolwiek nerwowo. Po chwili wahania chłopak podszedł do jej biurka i powiedział:

- Przepraszam, chciałbym zobaczyć się z panią Agatą Modrzańską. Rozmawiałem z nią ostatnio przez telefon, i zostałem poproszony, by przyjść tutaj.

Recepcjonistka skinęła głową w wyrazie zrozumienia, a następnie wstała i poprowadziła młodzieńca korytarzem w głąb ośrodka do małego pokoju dla gości. W jego rogu po lewej stronie znajdowała się nieduża, narożna kanapa, obok której stał okrągły, jasnobrązowy stolik. Wokół niego zaś poustawiano kilka identycznych kolorystycznie krzeseł z siedzeniami obitymi zieloną tkaniną. Gdy staruszka wskazała mu gestem, by usiadł, sama niemal natychmiast wyszła, zamykając za sobą drzwi. Maciek zajął miejsce na brzegu kanapy i, próbując się nieco rozluźnić, rozejrzał się dookoła.

Oprócz tych kilku mebli, które zauważył na początku, pomieszczenie, w którym siedział, było raczej puste. W ścianach naprzeciw rogu, w którym znajdowała się kanapa, umieszczone były dwa duże, wychodzące na trawnik i plac zabaw okna. Zauważył przez nie bawiące się pod czujnym okiem opiekunki kilkoro małych dzieci. Choć wiedział, że i one najprawdopodobniej są głuchoniewidome, nie dostrzegł w ich zachowaniu niczego nadzwyczajnego... no, może poza pewną niezgrabnością oraz niewielkim entuzjazmem, jaki okazywały. Wydało mu się to bardzo smutną zabawą, jak gdyby ci mali ludzie nie potrafili czerpać z niej takiej radości, jaką zazwyczaj potrafili z siebie wykrzesać ich widzący i słyszący rówieśnicy.

Nagle rozległo się uprzejme pukanie i do pokoju weszła młoda brunetka o krótkich, zaczesanych gładko na boki włosach. Była ubrana w jasną koszulę oraz ciemnoniebieskie dżinsy, na nogach nosiła zaś proste, praktyczne buty bez wysokich obcasów. Maciek wstał i spojrzał na nią, nie odzywając się jednak. Kobieta uśmiechnęła się go niego.

- Maciej, jak przypuszczam? Witam serdecznie – wyciągnęła ku niemu dłoń, którą ucisnęła delikatnie. -

Cieszę się, że zdecydowałaś się przyjechać. Szczerze przyznam, że byłam zaskoczona twoim telefonem, ale oczywiście tylko na plus.

Istotnie, zanim Maciek przyjechał do Krakowa, zadzwonił wprawdzie do ośrodka, w którym mieszkała i uczyła się tamta czarnowłosa dziewczyna. Udało mu się porozmawiać z jedną z wychowawczyń tutajszych licealistów, a przy okazji najbliższą Annie, poza rodzicami nastolatki, osobą dorosłą. Podzielił się z nią swoimi przemyśleniami dotyczącymi jej wychowanki, która tak bardzo zaintrygowała go na ostatnich zawodach, i opowiedział historię ich spotkania oraz związane z nim jego dalsze wewnętrzne przeżycia. Choć obawiał się, że jego słowa zostaną źle odebrane, pani Agata okazała się nad wyraz empatyczną osobą i nie okazała zdumienia, zniesmaczenia ani żadnej innej negatywnej reakcji. Stwierdziła za to, że powinien mieć na uwadze, iż nawiązywanie kontaktu z pełnosprawną młodzieżą bywa często bardzo trudne, a co dopiero z ludźmi, których miała na co dzień pod swą opieką. Doceniła jednak jego szczere chęci zapoznania się bliżej z Anną, i zaprosiła go na osobistą wizytę w ich ośrodku, by mogli o tym spokojnie porozmawiać w cztery oczy.

Teraz, gdy w końcu był już na miejscu, Maciek czuł się jeszcze bardziej niezręcznie, niż wcześniej, jednak w jego rozmówczyni było coś uspakajającego, co pozwalało mu zaufać, że zrozumie go i poprawnie odczyta intencje, z którymi przyszedł. Gdy więc usiedli, raz jeszcze dokładnie opowiedział o swoich ostatnich przemyśleniach: o tym, jak urodziwa czarnowłosa zaimponowała mu na zawodach oraz o szoku, jakiego doznał, gdy dowiedział się o jej niepełnosprawności; o dziwnym niepokoju, który mu od tamtego czasu towarzyszył; o podziwieniu, jakie czuł wobec jej zdolności do zdobywania takich sukcesów pomimo braku wzroku i słuchu, zmieszanym ze zdumieniem dotyczącym tego, jakim sposobem może tak dobrze sobie radzić bez tych dwóch zmysłów; i w końcu o tym, jak to wszystko czyni Annę osobą tak intrygującą, że czuł, iż musi chociaż spróbować poznać ją bliżej – a przynajmniej dowiedzieć się czegoś o jej życiu i sposobach radzenia sobie w sytuacji, w której nie potrafi porozumiewać się ze światem zewnętrznym inaczej, niż za pomocą dotyku. Pani Agata słuchała tego wszystkiego bardzo uważnie, nie przerywając mu, oraz analizując dogłębnie każdą jego myśl. Gdy w końcu skończył, milczała jeszcze przez chwilę, po czym rzekła:

- Widać, że wewnątrz jesteś naprawdę wrażliwym chłopakiem, i dobrze to o tobie świadczy. Cieszę się też, że jedna z moich dziewczynek zrobiła na tobie tak mocne wrażenie. To oznacza, że obecność naszych wychowanków w waszej szkole na czerwcowych zawodach była dobrym pomysłem. Oczywiście chętnie przedstawię cię Ani, i mam nadzieję, że zostaniecie dobrymi przyjaciółmi. Jednak chyba dobrze wiesz, że najważniejsze jest pierwsze wrażenie. Nie powinieneś tak po prostu podejść do niej i z głupia frant zacząć rozmawiać o bzdurach, bo nie ma nic gorszego, niż tak wymuszony początek znajomości.

- Też tak myślałem – przyznał Maciek, kiwając głową w wyrazie zrozumienia.

- Sądę też – podjęła znów kobieta – że najłatwiej będzie się wam dogadać poprzez wspólne zainteresowania. Chociażby bieganie. Możemy zacząć od czegoś takiego: przyznałeś, że interesuje cię życie osób głuchoniewidomych, a bardziej osobiście – Anka. Myślę więc, że nie byłoby kłamstwem, jeśli powiem jej, że przyjechałeś tutaj, by zobaczyć, w jaki sposób przygotowaliśmy się do zawodów w waszej szkole. Dałoby się też pewnie urządzić parę ćwiczeń praktycznych, może małe, prywatne wyścigi, a po wszystkim dodatkowo oprowadzenie cię przez nią po naszym ośrodku. To bardzo uczynna dziewczyna, i często zajmowała się w ten sposób innymi gośćmi, którzy przyszli tu, by sprawdzić, jak wygląda życie w tym miejscu. Będzie to jednocześnie szansa dla ciebie, by ją poznać i przy okazji nauczyć się czegoś o naszych podopiecznych, oraz dla niej, by spotkać kogoś nowego i pomóc temu komuś lepiej zrozumieć

świat jej i ludzi jej podobnych. Co o tym myślisz?

- Brzmi ciekawie – odrzekł po chwili zastanowienia, stwierdzając, że ten pomysł naprawdę ma szansę wypalić. Do tej pory zachodził w głowę, jak zaaranżować ich spotkanie tak, by nie wyszło sztucznie i nieprzekonująco dla ciemnowłosej nastolatki. Teraz, gdy miał już gotową koncepcję, nagle przyłapał się na tym, że nie może się już doczekać, gdy znowu ją zobaczy.

Wciąż jednak pozostawała do rozwiązania jeszcze jedna kwestia, a mianowicie – problem z komunikacją. Zwrócił się więc znowu do Modrzańskiej:

- Chciałbym jeszcze tylko spytać, czy nie będziemy mieli trudności z porozumiewaniem się. Przeczytałem niby w internecie o doręcznym alfabecie dla głuchoniewidomych, o którym mówiła pani, że będzie najlepszym i najprostszym sposobem na dogadanie się z nią, ale nie jestem pewien, czy to się dobrze sprawdzi w praktyce. Wyglądał stosunkowo prosto, ale sam nie wiem, czy będę umiał posługiwać się nim bez robienia błędów, albo czy uda mi się zrozumieć wszystko, co pani wychowanka będzie... cóż, mówiła do mnie.

- Nie musisz się tym martwić – jego rozmówczyni uśmiechnęła się uspokajająco. - Ania jest przyzwyczajona do tego, że czasem odwiedzają nas osoby ledwo radzące sobie choćby z komunikacją na poziomie kreślenia liter na dłoni. Mogę cię zapewnić, iż dołoży wszelkich starań, by przekazać ci wszystkie swoje słowa tak, byś je zrozumiał. Nie musisz się też bać, że ona nie zrozumie ciebie. Ten alfabet jest naprawdę bardzo prosty i można szybko nauczyć się korzystać z niego bez zastanowienia. Jest to więc ostatnia rzecz, jaką powinieneś się teraz przejmować.

- Rozumiem – odparł. Dzięki zapewnieniom pani Agaty poczuł się trochę lepiej.

- Mam nadzieję, że nie masz więcej wątpliwości?

- Nie, raczej nie.

- No to jak? – Modrzańska wstała i klasnęła w ręce. - Idziemy zabrać Ankę na trening?

Ośrodek, w którym wychowywała się czarnowłosa, mieścił w sobie szkołę podstawową, gimnazjalną oraz średnią. Podzielony był ponadto na trzy części, z których każda obejmowała jedno piętro. Na parterze znajdowały się, oprócz pokoi mieszkających tu na stałe pracowników, jak również pomieszczeń administracyjnych oraz gospodarczych, sale przeznaczone do ćwiczeń tudzież rehabilitacji młodszych i słabiej rozwiniętych dzieci. Tutaj też budynek łączył się z salą gimnastyczną, dobudowaną dopiero przed kilkoma laty. Pierwsze piętro przeznaczone było praktycznie w całości na małe szkolne klasy, dostosowane do niewielkich grup, w których odbywała się nauka podczas zajęć lekcyjnych. Tylko kilka większych pomieszczeń miało inne przeznaczenie. Była więc biblioteka, pokój artystyczny, a nawet szkolny sklepik. Wszystko to z zewnątrz wyglądało prawie tak, jak w normalnej szkole.

Na najwyższym poziomie mieściły się pokoje uczniów mieszkających w zintegrowanym z ośrodkiem internacie. Połowa pokoi była męska, druga zaś – żeńska. Oddzielono je od siebie ścianą dzielącą piętro na dwie równe części, a do każdej można się było dostać za pomocą schodów zlokalizowanych w oddzielnych krańcach szkoły. Brakowało tam co prawda świetlicy, ta jednak mieściła się na parterze.

Gdy Maciek zdążył wraz z panią Agatą w stronę pokoju czarnowłosej, chłopca uderzyła dziwna i bardzo niepasująca do budynku pełnego ludzi cisza. Na korytarzach napotykali się co jakiś czas na młodych ludzi w różnym wieku, zdążających w swoją stronę z namacalnym niemal poczuciem determinacji, zdanych w kwestii orientacji wyłącznie na swój zmysł dotyku, dzierzoną w rękę laskę i znajomość ośrodka. Widywali też innych opiekunów i wychowawców, z którymi Modrzańska wymieniała po cichu jakieś uwagi, czasami wskazując jednocześnie na Maćka, który witał się z nimi grzecznie, gdy ich spotykali. W końcu dotarli do pomieszczenia oznaczonego numerem dwadzieścia trzy. Dylemat Maćka, czy wypadałoby zapukać, rozwiązała jego towarzysząca, po prostu otwierając drzwi.

To, co zobaczył po ich otwarciu, wydało mu się najbardziej uporządkowanym pokojem, jaki widział w życiu. Na ścianie z lewej strony wisiały dwie półki wypełnione równo poukładanymi książkami z grzbieciami zapisanymi literami alfabetu Brajla. Po przeciwnej stronie stała zaś nieduża szafa z jasnego drewna, z dwoma dolnymi szufladkami przeznaczonymi zapewne na bieliznę. Obok niej mieściła się mała komoda, na której znajdował się spory kubek, lalka Barbie, kilka kamieni o ciekawych kształtach oraz zdobyte na ostatnich zawodach trofea – dwa dyplomy, a na nich wieńce laurowe. Wszystkie te przedmioty były starannie poukładane, zdawały się też być często dotykane, gdyż nie gromadził się na nich kurz. Wyglądało to jak wystawa pamiątek, a według Maćka ta ekspozycja prawdopodobnie służyła po prostu jako zbiór rzeczy mających dla zamieszkującej pokój dziewczyny wartość sentymentalną. Obraz jej sypialni dopełniało proste, drewniane łóżko stojące pod oknem znajdującym się naprzeciwko drzwi, jak również znajdujące się w rogu obok niego biurko, przy którym stało obrotowe krzesło. Na nim właśnie siedziała Anna, przesuając palcami po zapisanych w brajlu kartach grubego tomu spoczywającego na jej kolanach.

Jako że było ciepło, czarnowłosa nosiła na sobie wyłącznie czarne, krótkie spodenki oraz niebieską koszulkę. Bose stopy oparła o poręcz łóżka, tak że była zwrócona do swoich gości boczną częścią pleców, spoczywających na oparciu krzesła. Modrzańska wyjęła z kieszeni mały flakonik perfum i rozpyliła odrobinę w powietrzu. Po chwili słodki zapach ogarnął całe pomieszczenie, a Anna, najwyraźniej odbierając to jako znak od swej wychowawczynie, że zamierza do niej podejść, nie strasząc jej przy tym, poruszyła się i zaczęła kręcić głową w lewo i w prawo. Wówczas pani Agata podeszła do niej powoli i delikatnie dotknęła włosów wychowanki. Jakby był to ich kolejny umówiony sygnał, dziewczyna przerwała lekturę, zaznaczyła palcem lewej ręki, na której stronie się zatrzymała, i wyciągnęła w stronę kobiety prawą dłoń. Tamta zaś zaczęła szybko przebiegać po niej palcami. Gdy skończyła, Anna zaczęła z kolei przesuwać swoje palce po dłoni kobiety. Jeszcze raz role się zamieniły i po chwili nastolatka wstała, wzięła z biurka zakładkę, i włożyła ją do opasłego tomiska w miejscu, z którego miała zamiar wznowić później czytanie. Kładąc książkę na blacie, odwróciła się do pani Agaty, która poprowadziła ją delikatnie na środek pokoju.

- Poznajcie się. Maćku – to jest Ania, uczennica pierwszej klasy naszego liceum oraz moja droga wychowanka.

W czasie, gdy wypowiadała te słowa na głos, jej palce znów błędziły po dłoni czarnowłosej, prawdopodobnie przedstawiając jej w tym dziwnym, dotykowym języku Maćka. Następnie dziewczyna podeszła krok bliżej i wyciągnęła przed siebie rękę z uśmiechem na twarzy. Maciek uściskał ją, odwzajemniając uśmiech, który nagle zgasł, kiedy uświadomił sobie, że ona i tak nie może go zobaczyć. Zanim jednak zdążył zrobić coś jeszcze, zorientował się, że Anna, nie zwalniając uścisku, przewraca jego prawicę w taki sposób, by czubki jej palców kierowały się ku górze. Dopiero wówczas uwolniła jego dłoń i zaczęła powoli pisać po niej palcem wskazującym litery układające się w następujące słowa:

- Cześć. Miło mi cię poznać. Jestem Ania, mam szesnaście lat. Cieszę się, że do nas przyjechałeś.

Jakby na potwierdzenie tego faktu obdarowała go kolejnym, ciepłym uśmiechem. Naraz po sekundzie dezorientacji zdał sobie sprawę, że z kolei ona wyciągnęła teraz ku niemu swoją rękę w identyczny sposób, w jaki przed chwilą ułożona była jego własna, więc odpowiedział jej tym samym dotykowym alfabetem:

- Witaj. Mi też miło cię poznać. Jestem Maciek.

Choć była to zaledwie wymiana kilku krótkich zdań, trwała ona znacznie dłużej, niż wcześniejsza rozmowa dziewczyny z jej opiekunką. Widoczne było, że choć doręczny alfabet dla głuchoniemych miał szereg zalet, nie należał do najszybszego sposobu komunikowania się. Póki co była to jednak jedyna forma kontaktu, jaki mógł nawiązywać z tą głuchoniewidomą nastolatką. Sam fakt, że udało mu się z nią porozumieć, wzbudził w nim jakieś dziwne uczucie wewnętrznego spełnienia, oraz utrwalił w przekonaniu, że jakkolwiek ograniczająca była jej niepełnosprawność, nie uniemożliwiała jej przecież prowadzenia zwykłych rozmów z innymi ludźmi.

Z zadumy wyrwały go słowa Modrzańskiej, która zaproponowała (zarówno werbalnie, jak i niewerbalnie – ponownie dając Annie sygnały dotykowe), by usiedli i porozmawiali na spokojnie o celu wizyty Maćka. Oboje przystali na to chętnie i już po chwili siedzieli obok siebie na jej łóżku. Pani Agata zaś usadowiła się na krześle i przesunęła je tak, by patrzeć na nich z przodu oraz móc dosięgnąć ręki czarnowłosej. Przez kilka sekund przekazywała jej propozycję, by pokazała gościowi ośrodek oraz pozwoliła mu wziąć udział we wspólnym treningu. Po chwili jej wychowawczynie przetłumaczyła nastolatkowi jej zgodę.

- Masz szczęście, akurat trafiłeś dzisiaj na jej dzień biegowy – rzekła z uśmiechem.

Ustalili również, że jeśli Maciek naprawdę chce się dobrze przyjrzeć działaniu ich placówki, jak również codziennemu życiu tutejszych uczniów, byłoby najlepiej, gdyby został u nich przynajmniej do następnego dnia. Jako że chłopak przewidywał taką ewentualność, przyjął chętnie propozycję. Nie chciał przepuścić tak dobrej okazji do poznania Anny oraz przekonania się, jak zмага się ze swą niepełnosprawnością, by móc prowadzić normalne życie wypełnione normalnymi aktywnościami, takimi jak sport czy nauka.

Gdy czarnowłosa (do której Maciek dość szybko przyzwyczał się zwracać po prostu „Anka”) przebrała się w swój strój treningowy i spięła włosy z tyłu, tak jak na czerwcowych zawodach, a chłopak wdział na siebie biegowe dresy przyniesione ze sobą wraz z ubraniami na zmianę, zostawionymi razem z plecakiem w przygotowanym dla niego pokoju gościnnym, wszyscy troje wyruszyli na pobliski stadion będący własnością miejskiego ośrodka sportowego. Placówka, w której mieszkała i uczyła się dziewczyna, miała od jego władz pozwolenie na użytkowanie go dla potrzeb głuchoniewidomych uczniów. Ponieważ nastolatka, jak sama powiedziała Maćkowi, nie zwykła nosić na treningi swojej białej laski, w drodze na i z bieżni po prostu trzymała się za rękę prowadzącej ją na miejsce opiekunki. Opowiadała mu też, że zwykle chodziła tam z nauczycielką WF-u, choć zdarzało się jej już wcześniej wybierać na treningi z panią Agatą, zwłaszcza przygotowując się do ostatniej imprezy sportowej, jaka miała miejsce w jego szkole. Jej komentarze, tak zwyczajne, dotykająca rzeczy, którymi żyła na co dzień, różniły się w sumie od normalnych pogaduszek pomiędzy młodzieżą wyłącznie formą przekazu informacji. Maciek zdziwił się, jak szybko przyzwyczał się do tego nieco może powolnego, ale – jak się przekonał – prostego sposobu porozumie-

wania się. Nie tylko „słuchał” z uwagą tego, co Anka miała mu do powiedzenia, ale również dzielił się spostrzeżeniami na temat jej kondycji, co do której wyrażał szczerzy podziw.

- Wiesz, biegłem tuż obok ciebie w sztafecie podczas zawodów – powiedział, gdy zbliżali się już do stadionu. - Nie wiem, czy pani Modrzańska ci o tym mówiła.

- Wspominała o tobie – przyznała. - Nasza wuefistka, pani Filipiuk, mówiła mi też, że chłopak, który był na sąsiednim do mojego torze, a więc pewnie ty, podszedł do mnie przed odznaczeniem zwycięzców i chciał coś powiedzieć. To prawda? - zapytała, brak znaku zapytania w alfabecie dotykowym zastępując wymownym, choć niewidzącym, oczywiście, spojrzeniem.

- Tak – przyznał krótko, nie chcąc rozwlekać swojej wypowiedzi słowami takimi jak „cóż” ani niczym innym, co normalnie powiedziałaby, próbując ukryć zmieszanie. - Chciałem ci tylko pogratulować zwycięstwa, bo prześcignęłaś mnie w taki sposób, że... - urwał, nie wiedząc, jak skończyć zdanie. Tą nieemożność znalezienia słów, którymi mógłby zakończyć swą wypowiedź, dziewczyna odczytała, na szczęście, pozytywnie. Zaśmiała się, co wzbudziło w Maćku spore zaskoczenie. Po chwili zdał sobie jednak sprawę, że choć nie miała możliwości nauczenia się mowy, nie oznaczało to przecież, iż brakowało jej głosu. Jej śmiech był lekki, dziewczęcy i wysoki. Pani Agata, idąca po lewej strony swej wychowanki, uśmiechnęła się lekko, domyślając się tylko, o czym mogą ze sobą rozmawiać.

- To czemu nie zostałeś i nie poprosiłeś jej, by mi to wtedy sama przekazała? - zapytała.

- Sam nie wiem. Jakoś tak... dziwnie zadziało na mnie to, że masz taką niepełnosprawność.

Natychmiast pożałował swych słów, gdy skończył kreślić ostatnie litery tego zdania, jednak Anka zdawała się nie brać ich do siebie.

- Naprawdę nie musiałeś się tak tym przejmować. Jestem przyzwyczajona do życia bez zmysłów, o których i tak nie mam pojęcia. Radzę sobie na co dzień i mogę robić naprawdę wiele rzeczy, których sporo dzieci z naszego ośrodka nie jest w stanie. I tak jestem wdzięczna losowi, że wyszłam na tym lepiej, niż co niektórzy.

Choć ta odpowiedź lekko go zaskoczyła, nie próbował już dłużej drażnić tematu. Skierował więc rozmowę na wcześniejsze tory.

- Wracając, byłem naprawdę pod wrażeniem tego, jak szybko i łatwo mnie wtedy wyprzedziłaś. Musiałaś trenować naprawdę ostro, poza tym, że najwyraźniej masz wrodzony talent do biegania.

- Staralam się ze wszystkich sił – przyznała. - Bardzo mi w tym pomagała pani Agata, która nie tylko wspierała mnie podczas ćwiczeń, ale również pomagała załatwiać problemy techniczne, na które się natknęliśmy.

- To znaczy związane z sygnałem do startu i tak dalej?

- Nie to akurat było naszym największym zmartwieniem. Propozycja wprowadzenie sygnałów w formie gwizdów, którą wystosowaliśmy do waszego dyrektora, nie wzbudziło u was, z tego co słyszałam, żadnych podejrzeń, bo okazało się po prostu najprostszym sposobem wydawania komend. A nam zależało na wprowadzeniu ich, bo przy odpowiednio mocnych dźwiękach jesteśmy w stanie je wyczuć zmysłem

dotyku jako drgania. Dlatego to był nasz najmniejszy problem. Bardziej obawialiśmy się o to, co zrobić, byśmy nie wypadali z bieżni na zakrętach podczas biegów, albo nie rzucili młotem w zupełnie inną stronę, niż powinniśmy.

- Więc jak to rozwiązaście? - zapytał, gdy wkraczali już na teren stadionu.

- Wykorzystaliśmy do tego sygnały wibracyjne w komórkach. To był akurat mój pomysł – przyznała z wyrazem dumy na twarzy. - Podczas konkurencji, w których potrzebowaliśmy wycucia kierunku, chowaliśmy do kieszeni telefony, w których nasi opiekunowie włączali zdalnie wibracje ze swoich, by dać nam sygnał, że, na przykład, należy już puścić młot albo skręcić, by nie wypaść za tor podczas biegu.

- Bardzo sprytne – przyznał Maciek.

- Cieszę się, że tak uważasz – odpowiedziała, znów się uśmiechając. Przystanęła też, reagując na bezruch jej opiekunki, dającej znać dziewczynie, że są już na miejscu. Ta jednak nie chciała przy tym przerywać rozmowy i kontynuowała: - Ale jeśli chodzi o same treningi, to też nie było łatwo. Nie ćwiczyłam codziennie, bo to by mogło dać odwrotny efekt, ale nawet te sesje biegowe, które miałam co dwa dni, były bardzo wyczerpujące. Chociaż jestem przyzwyczajona do tego sportu, bo trenuję go od dzieciństwa, to przez cały maj moja nauczycielka WF-u narzuciła mi, bardzo zresztą słusznie, dużo większe tempo, niż zwykle. Chyba tylko dzięki temu mogłam wyćwiczyć się na tyle, by uzyskać tak dobre rezultaty.

Przerwała nagle tą wymianę zdań, cofając dłoń i pokazując coś szybko na migi jej wychowawczyni. Ta skinęła głową, prawdopodobnie jednak bardziej do siebie, niż do kogokolwiek innego, i rzekła:

- Idę upewnić się, że będziecie mieli dwa wolne tory dla siebie. Wy tymczasem rozgrzejdziecie się porządnie.

To powiedziawszy, odeszła ku liniom startowym. Anka znów wyciągnęła palec, sygnalizując, że ma coś do powiedzenia, a Maciek skwapliwie podłożył pod niego swą dłoń.

- Pokażę ci moją rutynową rozgrzewkę. Na początek – dziesięć krążeń ramion w przód, a potem dziesięć w tył.

Zaczęli więc wdrażać jej plan treningowy. Gdy oboje skończyli któreś z ćwiczeń, dziewczyna dyktowała następne. W ten sposób przeprowadziła z nim długą, ale skuteczną sesję rozciągającą wszystkie potrzebne w bieganiu mięśnie i ścięgna. W międzyczasie wróciła Pani Agata, która potwierdziła, że mogą swobodnie korzystać z bieżni.

- Czas na małe rozbieganie – powiedziała w końcu Anka. - Zrobimy jedno kółko dookoła stadionu w truchcie.

Po tych słowach poprosiła go, by zaprowadził ją na linię startową zewnętrznego toru. Gdy się tam znaleźli, w głowie Maćka pojawiło się nagle pytanie, które po chwili wahania zadał czarnowłosej:

- Nie będziesz miała kłopotów z zakrętami?

Pokręciła głową.

- Ten stadion to co innego. Znam go na pamięć i wiem dokładnie, gdzie muszę zacząć skręcać. Problem dotyczący waszej bieżni wynikał stąd, że miała inne wymiary niż ta. Ale tutaj sobie poradzę.

Nie chcąc zawracać jej dłużej głowy, zakończył tą wymianę zdań słowami gotowości do ćwiczenia. Oboje ruszyli więc powoli, stąpając w truchcie obok siebie. Co jakiś czas zerkał na jej twarz, oświetlaną promieniami czerwieniejącego powoli nad horyzontem słońca. Jej nozdrza rozszerzały się i kurczyły miarowo, w miarę, jak brała kolejne wdechy i wydechy. Rozdymający się cyklicznie nos dziewczyny tworzył wraz z niewrażliwymi na światło oczami, niewielkimi uszami, widocznymi teraz dobrze przy jej obecnym uczesaniu oraz wąskimi, czerwonymi ustami symetryczną kompozycję, stanowiącą istotę jej urody. Maciek musiał przyznać, że była naprawdę piękna, choć w chwili, gdy biegła powoli tuż obok niego, uderzyło go to znacznie mocniej, niż gdy zobaczył Ankę w jej pokoju czy też podczas dekoracji zwycięzców na minionych zawodach.

Przekonał się też, że miała rację co do znajomości budowy stadionu. Bez żadnych sygnałów z zewnątrz wchodziła w łuk z taką łagodnością, jakby wyraźnie widziała przed sobą linie ograniczające jej tor, gdyż zmieniała kierunek w taki sposób, że nie nastąpiła ani razu na żadną z nich. Kiedy zaś zatoczyli pełne okrążenie, zatrzymała się niemal dokładnie w tym samym miejscu, z którego ruszyła. Po chwili odpochnięcia wyciągnęła ku niemu palec, a gdy podstawił pod niego wnętrze swej dłoni, zaproponowała mu:

- Może się pościgamy?

- Czemu nie – odparł, bardzo pragnąc wyrazić poprzez dotyk jego szczerą chęć przyjęcia wyzwania.

Anka machnęła więc ręką w powietrzu, i po chwili u jej boku zjawiała się pani Agata, której przekazała parę słów tym szybkim, wciąż nieznanym Maćkowi sposobem, którego obie używały najczęściej do porozumiewania się między sobą. Po krótkiej wymianie zdań kobieta zwróciła się do chłopaka:

- Chodźmy na linię startu. Sto metrów jest tu już, na szczęście, zaznaczone, więc nie będziemy musieli bawić się metrówką. Chyba że wolisz jakiś inny dystans...?

- Nie, w porządku. Zresztą na stu metrach chyba radzę sobie najlepiej – odparł, pamiętając jednak, że wynik Ani na zawodach był lepszy od najlepszego z jego czasów. Nie chodziło mu jednak o pokonanie nastolatki. Jeśli mógł ponownie zobaczyć z bliska pracę jej nóg, rąk i całego ciała, podpatrując jednocześnie technikę biegu oraz przekonać się raz jeszcze, jak szybkie tempo potrafi rozwinąć i w jakim czasie, był dostatecznie zadowolony, by kolejna porażka nie była czymś, czym mógłby się przejmować.

Gdy oboje ustawili się już na starcie, Modrzańska wyciągnęła z kieszeni gwizdek i rzekła:

- Zasady są takie same, jak na zawodach. Pierwszy gwizd – przygotować się, drugi – zaczynacie biec.

Po tych słowach gwizdnęła mocno. Maciek oraz Anka zajęli pozycję, a na drugi sygnał ruszyli z miejsca z taką mocą, że wzburzyli stopami spory obłok kurzu. Początkowo chłopak wysunął się na prowadzenie, po chwili jednak zauważył, że dziewczyna dogania go, zwiększając wciąż swoje tempo tak szybko, jak on nigdy nie byłby w stanie. Próbował co prawda nie dać się prześcignąć, jednak bezskutecznie – kilkanaście metrów przed prowizoryczną metą, którą stanowił wbity z boku bieżni mały pacholek, został w tyle i obserwowował, jak po pięknym finiszu czarnowłosa biegnie jeszcze chwilę, pewnie w celu upewnienia się, że przebyła wymagany dystans, a następnie zwalnia, by po kilku sekundach całkiem zatrzymać się w miejscu. Była zdyszana, ale uśmiechnięta. Maciek podszedł do niej i stuknął delikatnie palcem jej ramienia, a ona dała mu znać, że chce coś powiedzieć. Kiedy więc podstawił jej swą dłoń, by mogła to uczynić, zapytała:

- Kto wygrał?

Dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, że przecież nie mogła tego wiedzieć, więc odpowiedział:

- Ty, oczywiście. Chociaż na początku zostałeś z tyłu, dogoniłeś mnie gdzieś w połowie, a przed metą wyprzedziłaś i dobiegłaś tam pierwsza.

Na jej wciąż zaczerwienionej od wysiłku twarzy rozlał się jeszcze szerszy uśmiech. Nagle wyciągnęła w jego stronę dłoń, jakby dziękując mu za tą drobną rywalizację oraz gratulując sprawności i ducha walki. Maciek uścisnął ją pewnie, czując, że – pomimo porażki – odniósł jednak przed chwilą jakieś naprawdę ważne zwycięstwo.

Po szybkim prysznicu, który wziął po powrocie do ośrodka we wskazanej mu przez Modrzańską łazienkę dla gości, chłopak przebrał się w przyniesione ze sobą świeże ubrania, niemal identyczne z tymi noszonymi wcześniej, i przeszedł do świetlicy. Tak jak umówił się wcześniej z panią Agatą, czekała na niego przy stoliku w rogu sali, wypełnionej równo poukładanymi fotelami, krzesłami oraz stołami. Każdy mebel zdawał się być umieszczony w taki sposób, by nie zakłócać swobody ruchu idącym przez pomieszczenie głuchoniewidomym dzieciom. Rozejrzawszy się dookoła Maciek zauważył kilkoro młodych ludzi siedzących wygodnie tu i tam, zajętych czytaniem, rozmową z którymś z opiekunów bądź rówieśników lub też różnego rodzaju grami karcianymi i planszowymi, dostosowanymi specjalnie do ich niepełnosprawności. Gdy przysiadł się do wychowawczynie Anki, ta zapytała go natychmiast:

- No i jak wrażenia?

Nie odpowiedział od razu. Przez chwilę analizował to wszystko, co spotkało go od momentu przekroczenia progu tej placówki: pierwszą rozmowę z Modrzańską, ponowne spotkanie czarnowłosej, wspólny spacer na stadion oraz trening. Wspominał świeże jeszcze w jego pamięci rozmowy z wysportowaną i urodziwą nastolatką, które, będąc cokolwiek powolne, okazały się całkowicie normalnymi konwersacjami, nie odkrywającymi żadnych ułomności w mentalności czy zasobie słów Anny. Nie musiała długo namyślać się nad odpowiedziami, miała dość bogate słownictwo, a ponadto sprawiała wrażenie osoby bardzo inteligentnej i mądrej. Tylko dlaczego tak go to dziwiło, jakby spodziewał się po niej kogoś ograniczonego umysłowo i niezdolnego do rzeczy takich jak rozmowa czy też nieznanego otaczającej rzeczywistości na tyle dobrze, by móc odnosić się do takich jej elementów, jak zdobycze techniki albo literatura? Miała przecież w pokoju małą bibliotekę, ona też była autorem pomysłu wykorzystania telefonów komórkowych na zawodach sportowych do sygnalizowania uczestnikom z ich szkoły rzeczy koniecznych do pełnego i prawidłowego udziału w różnych konkurencjach.

Wziąwszy pod uwagę wszystkie te przemyślenia, odrzekł wreszcie:

- Jeśli chodzi pani o Ankę... To naprawdę niesamowita osoba. Zdaje się w ogóle nie mieć problemów z jej niepełnosprawnością.

- Trzeba przyznać, że potrafi całkiem nieźle sobie radzić na co dzień – jego rozmówczyni pokiwała głową. - Prawdę mówiąc, jest to nasza najbardziej obiecująca wychowanka. Mieszka i uczy się tu już od dziesięciu lat, i od tamtej pory zrobiła niesamowite postępy, jak na kogoś z jej przypadłością. Widzisz, nie wszystkie nasze dzieci są głuchoniewidome od urodzenia, nie wszystkie też mają w równym stopniu

uszkodzony wzrok i słuch. Niektóre zachowały szczątkowe widzenie, inne potrafią rozpoznawać wzmacniane aparatami słuchowymi dźwięki, ba – część z nich zna nawet mowę głosową. Tak naprawdę rzadko spotyka się osoby takie jak Ania, które już się urodziły bez sprawnych choćby w nikłym stopniu dwóch podstawowych zmysłów. Zazwyczaj rokowania dla tych dzieci nie są zbyt dobre: mają skłonność co zamykania się w sobie, nie zawsze wykazują chęć poznawania otaczającego ich świata, a poza tym nauka często przychodzi im z ogromnym trudem, tak że ledwo można je nauczyć choćby jednej metody komunikacji. Jednak w jej przypadku jest inaczej. Gdyby była pełnosprawna, zapewne zabłysnęłaby jako genialne dziecko w elitarnych szkołach, za które bez problemu mogłaby płacić ze stypendiów, bo z całą pewnością łatwo by je uzyskiwała. Oczywiście, w sytuacji, w której się znajduje, nie jest to zbyt realne, niemniej jednak znakomicie radzi sobie z materiałem, który został przewidziany do przyswojenia dla młodzieży z jej dysfunkcją. Mało tego, opanowała prawie wszystkie znane formy komunikacji dostępne dla głuchoniewidomych. Zazwyczaj alfabet Brajla oraz język migowy są łatwiejsze do przyswojenia ludzior, którzy utracili wzrok dopiero na jakimś etapie życia, ona jednak nie miała problemów z nauczaniem się ich od zera, opierając się tylko na zmyśle dotyku. To jest naprawdę niesamowite, zważywszy na to, że jej wyjątkowość przejawia się również w postawie i stylu życia. Jest bardzo ciekawa świata, dużo czyta, chętnie oddaje się swojemu hobby, czyli bieganiu. Sam zresztą widzisz, jaka jest w tym dobra – zakończyła z uśmiechem.

- Ma pani rację – Maciek odwzajemnił uśmiech. - W ogóle to dziękuję raz jeszcze, że pomogła mi pani zapoznać się z nią choć trochę bliżej. Nie sądziłem, że jest aż tak otwartą i ciepłą osobą... choć oczywiście nie wyglądało po niej, że jest inaczej – dodał szybko. - Po prostu zanim tu przyjechałem, nie bardzo zdawałem sobie sprawę z tego, jak ktoś niewidomy i niesłyszący jednocześnie może się dogadywać z ludzior z taką swobodą i błyskotliwością. Sama pani przecież wie, że dzieci z taką niepełnosprawnością często mają spowolniony rozwój umysłowy i mniejszą szansę na poznanie wielu rzeczy dostępnych ludzior ze zdrowym wzrokiem i słuchem.

- Wiem i nie uważam, że twoje obawy były nieuzasadnione czy uwłaczające komukolwiek – zapewniła. - Jednak, prawdę mówiąc, Ania naprawdę mocno wybija się ponad swoich rówieśników. Wielu z nich ma kłopoty z przyswojeniem wiedzy, która jest czymś oczywistym już dla uczniów gimnazjów. Niech więc nie wydaje ci się, że będąc głuchoniewidomym można prowadzić tak całkiem normalne życie, może tylko odrobinę niewygodne. Wciąż wiele rzeczy jest poza zasięgiem sporej liczby takich ludzior, włączając w to choćby wyższą edukację. Oczywiście nie we wszystkich przypadkach – studentów z taką przypadłością jest już całkiem sporo. Plus, jestem pewna, że Ania jest w stanie bez problemów dostać się na porządną uczelnię, nawet jeśli będzie się mogła tam uczyć tylko dzięki specjalnym programom edukacyjnym czy czemuś takiemu.

Kiedy tak o niej rozmawiali, dziewczyna wkroczyła nagle do świetlicy, z lekko wilgotnymi jeszcze po prysznicu włosami, ubrana teraz w czarną koszulkę oraz lekko na nią za dużą, zasuwaną na suwak zieloną bluzę z kapturem, która zwisała na niej swobodnie rozpięta. Oprócz tego nosiła długie, jasne dżinsy, a na wciąż bosych stopach miała zwykłe, brązowe kapcie. Najwyraźniej Anka została poinformowana przez swą wychowawczynię, że będzie tu na nią czekać wraz z Maćkiem, bo po wejściu do pomieszczenia skierowała się od razu ku stolikowi, przy którym oboje siedzieli. Gdy wystukała swoją białą laską krzesło, złapała za jego poręcz. Przekonawszy się, że jest wolne, odsunęła je, a następnie usiadła na nim, zwracając głowę w prawo i w lewo. Wyglądało to tak, jakby sygnalizowała, że szuka swojej opiekunki. Ta szybko wyciągnęła ku niej dłoń, którą dotknęła jej włosów. Wówczas nastolatka złapała rękę Modrzańskiej i zaczęła za pomocą swych palców dawać jej jakieś sygnały. Gdy skończyła, pani Agata zwróciła się do Maćka:

- Jest jedna rzecz, o której ci nie wspomniałam. Jutro w południe przyjeżdżają rodzice Ani, więc nie będzie miała wtedy dla ciebie czasu, jednak deklaruje, że rano jest do twojej dyspozycji i chętnie pokaże ci nasze codzienne życie. W sumie jeśli chcesz, może zacząć cię oprowadzać już teraz.

Po tych słowach szturchnęła lekko wychowankę, która wyciągnęła swój palec, co Maciek już automatycznie odebrał jako sygnał chęci nawiązania rozmowy. Wyciągnął więc dłoń (mimo że było to trochę niewygodne, bo dziewczyna skierowała się w trochę inną stronę, niż naprawdę siedział, co sprawiało, że musiał wygiąć ją pod dziwnym kątem), i pozwolił jej wypisać na niej następujące słowa:

- Przepraszam, że nie powiedziałam ci wcześniej o rodzicach, zupełnie o nich zapomniałam. Choć myślę, że starczy nam czasu, by wszystko ci pokazać i opowiedzieć o tym, co się interesuje. Masz na to teraz ochotę?

- Jasne – odrzekł. Wówczas Anka odwróciła się znów w stronę Modrzańskiej i dała jej kilka znaków językiem migowym, na które jej wychowawczynie odpowiedziała z kolei w stronę Maćka:

- Mówi, że sama sobie z tobą poradzi, i nie muszę was pilnować, jeśli jestem zmęczona. Cóż, nie żebym nie była – dorzuciła żartobliwym tonem – ale w razie czego wezwijcie mnie, jeśli będzie taka potrzeba, lub poproście o pomoc najbliższego opiekuna. Wszystkim już powiedziałam o twoim przybyciu, więc będą wiedzieli, kim jesteś, dlatego nie krępuj się ich pytać, jeśli będziesz czegokolwiek potrzebował. W razie czego Ania też zapewne ci pomoże. - Po tych słowach wstała, pożegnała się z nim i poklepała lekko dziewczynę po ramieniu, a następnie wyszła ze stołówki.

- Więc – rzuciła czarnowłosa, gdy zostali sami – czego chciałbyś się najpierw dowiedzieć?

Gdy kończyli zwiedzanie znajdującej się na piętrze szkoły, było już prawie po zmroku. W międzyczasie Maciek dowiedział się bardzo wiele o funkcjonowaniu ośrodka i życiu zamieszkujących go dzieci i młodzieży. Na początku Anka pokazała mu znajdujące się na najniższym piętrze sale, w których odbywały się ćwiczenia rehabilitacyjne i ogólnorozwojowe dla najmłodszych i najsłabiej rozwiniętych psychicznie. Tam zazwyczaj przygotowywano ich do nauczania się porozumiewania z otoczeniem oraz pomagano im przełamywać wynikające z głuchoślepoty bariery, które utrudniały im otworzenie się na świat i kontakt z innymi. Były to głównie pokoje wypełnione zabawkami, które, nieużywane, leżały poukładane pod ścianami. Nastolatka tłumaczyła gościowi, że nauka poprzez zabawę jest najefektywniejsza, a w przypadku maluchów, które nie mają innej możliwości uczenia się czegokolwiek, stanowi pierwszy, najważniejszy krok w ich ogólnym rozwoju. Program nauki pierwszych języków dotykowych poznawanych przez głuchoniewidome dzieci w tym ośrodku prowadzono w oddzielnych pomieszczeniach, pełnych przedmiotów codziennego użytku. Jak poinformowała go czarnowłosa, zanim przejdzie się do prawdziwych alfabetów dotykowych czy też języka migowego, należy najpierw wprowadzić najmłodszych w świat symboli, na których mogłyby się opierać, by zrozumieć otaczającą ich rzeczywistość. Tylko w ten sposób mogły uzyskać punkt odniesienia, by być w stanie wchłonąć bardziej abstrakcyjne treści, których pełnosprawne dzieci uczą się z obserwacji tego, co się wokół nich dzieje za pomocą wzroku i słuchu, a które one muszą poznać dotykiem. Maćkowi wydawało się to bardzo trudnym zadaniem. Gdy podzielił się tym spostrzeżeniem ze swą przewodniczką, zgodziła się z nim.

- Rzadko rozmawiam z maluchami, ale wiem, że większość z nich bardzo mało wie o świecie. Nie znają wielu powszechnych słów i określeń, często też nie chcą ich poznać, wolą zamykać się w sobie. Nasi

opiekunowie i nauczyciele starają się, jak mogą, by pomóc im mimo wszystko nauczyć się tego, co jest im potrzebne na co dzień w życiu. To najważniejsza rzecz w początkach ich edukacji.

Po obejrzeniu dokładnie całego parteru poszli na pierwsze piętro. Maciek zauważył, że Anka, wyczuwając laską niezbyt strome schody, od razu złapała się wolną ręką poręczy, puszczać wcześniej dłoń Maćka, którą do tej pory ścisnęła, by zachować z nim kontakt. To wcześniejsze trzymanie za rękę chłopak początkowo pożytywał za znaczący gest, jednak szybko przekonał się, że dziewczyna chciała w ten sposób po prostu upewnić się, że będą mogli w dowolnej chwili zwrócić na siebie uwagę drugiej strony i przekazać sobie nawzajem swoje słowa. Poza tym domyślił się, że osobie takiej jak ona, dla której jedyne źródło informacji o otaczającym ją świecie stanowił dotyk, był to jedyny sposób na upewnienie się, że cały czas jest przy niej w jasno określonym miejscu. Maciek rozumiał to – sam nie chciałby przecież być utrzymywany w niewiedzy co do tego, gdzie znajduje się towarzysząca mu osoba. Nagle dziewczyna zatrzymała się na pierwszym stopniu, jakby sobie o nim przypominając.

- Przepraszam, to takie przyzwyczajenie – wyrysowała mu na dłoni, gdy podsunął ją pod wyciągnięty przez nią palec. - Na schodach zawsze trzymamy się poręczy ze względów bezpieczeństwa. Ale skoro jesteś ze mną, raczej nic mi się na nich nie stanie – dodała z uśmiechem.

Wrócili więc do trzymania się za ręce. Gdy wspięli się w końcu na piętro, Anka zaczęła oprowadzać go po salach lekcyjnych. Ponieważ nikt z nich nie korzystał, były zamknięte na klucz, więc najpierw musieli znaleźć najbliższego opiekuna i poprosić o ich otwarcie. Przy okazji mężczyzna, który im w tym pomógł, przywitał się ciepło z Maćkiem, o którego wizycie najwyraźniej faktycznie wiedział już cały ośrodek.

Pomieszczenia, w których w trakcie roku szkolnego odbywały się lekcje, różniły się wyraźnie od klas w jego szkole. Były wyraźnie mniejsze, mieściło się w nich też znacznie mniej ławek i krzeseł, rozstawionych luźno pod trzema ścianami, zostawiając puste miejsce na środku i z tyłu. W ich tylnej części znajdowały się szafy z pomocami naukowymi, którymi zazwyczaj okazywały się książki pisane alfabetem Brajla. Poziom nauczania wszystkich przedmiotów był zróżnicowany dla każdej z trzech szkół, które obejmowała krakowska placówka. Jak Maciek został poinformowany przez czarnowłosą dziewczynę, zajęcia odbywały się w małych grupach, by łatwiej dotrzeć do każdego z uczniów. Każdemu materiał był tłumaczony przez nauczyciela osobno, czasem jednak pracowano w parach, by rozwinąć wśród wychowanków umiejętność pracy zespołowej oraz radzenia sobie z wyznaczonymi zadaniami w miarę możliwości bez ingerencji pedagoga. W tych salach często odbywały się również indywidualne lekcje dla wymagających większej uwagi mniej zdolnych dzieci, lub też takie udostępniane w ramach zajęć dodatkowych, nadprogramowych bądź uzupełniających, dostępnych na życzenie ucznia. Prowadzono więc, na przykład, wykłady wykraczające poza materiał zaplanowany przez program nauczania z konkretnych przedmiotów, bądź też nauki form komunikacji dla młodych ludzi pragnących znać więcej niż jedną. Anka przyznała, że sama chętnie na nie uczęszczała.

- Dzięki nim mogę swobodnie rozmawiać na wiele sposobów. Przydaje się, jeśli spotkam, dajmy na to, ludzi, dla których język migowy jest łatwiejszy w używaniu niż alfabety dotykowe.

- Skoro już o tym mowa – wtrącił Maciek, pchany nagłą ciekawością – jak nazywa się ten, którym posługujesz się do rozmawiania z panią Modrzańską?

- Alfabet Lorma – odpowiedziała. - Jest znacznie szybszy, niż standardowy, doręczny alfabet, w którym z tobą rozmawiam. Dobrze by było, gdybyś go znał, moglibyśmy wtedy znacznie swobodniej się porozu-

miewać – dodała, uśmiechając się z odrobiną udawanej złośliwości.

- Wygląda na skomplikowany – przyznał.

- Może na pierwszy rzut oka. Ale tak naprawdę jest dość prosty i bardzo praktyczny.

Wciąż nie będąc o tym w pełni przekonany, Maciek rozejrzał się jeszcze raz po pomieszczeniu, w którym się zatrzymali, zanim dał znak, że mogą iść dalej. W następnej kolejności odwiedzili bibliotekę, która, choć nie imponowała rozmiarem, mieściła dość bogaty księgozbiór. Znamiennym było, że prawie wszystkie tomy zapisano alfabetem Brajla, będącym jedyną alternatywą dla osób głuchoniewidomych pragnących mieć styczność z literaturą. Minęli nieczynny latem sklepik szkolny i dotarli do sali artystycznej. Znajdowały się tam szafy wypełnione głównie dłutami i materiałami rzeźbiarskimi, lecz także przybory rysunkowe... oraz najprawdziwsze pianino.

- Po co wam instrument muzyczny w takim ośrodku? - spytał bez ogródek, przyzwyczajony już trochę do pewnej bezpośredniości i swobody, z którą Anka sama podchodziła do swojej niepełnosprawności, w związku z czym próbował zachowywać się podobnie.

- To dla dzieci, które zachowały resztki słuchu. Zajęcia muzyczne pomagają im w rozwijaniu go, co bywa bardzo pomocne dla tych, którzy mają jeszcze możliwość cokolwiek usłyszeć. Tak samo z przyborami do rysunków, z tym że te są tu z myślą o tych ze słabą zdolnością widzenia. Podobnie jest z komputerami w następnej sali – też pomagają im w stymulacji wzroku.

Zwiedzili jeszcze wspomniany przez nastolatkę pokój komputerowy oraz sąsiadujący z nim gimnastyczny, przekształcony po dobudowaniu hali sportowej w salę taneczną. W ten sposób zobaczyli całe piętro, na którym mieściła się zarówno podstawówka, jak i gimnazjum oraz liceum. Choć zdecydowanie to, co ujrzał tu Maciek, różniło się to od pojęcia szkoły, jakie znał, Anka utrzymywała, że dzięki takiej organizacji klas ich ośrodek jest w stanie zapewnić swoim wychowankom może nie tyle normalną, ale przynajmniej w miarę efektywną edukację.

- Tylko w miejscu takim jak te możemy nauczyć się tego, co jest w życiu potrzebne, i zdobyć jako takie wykształcenie – mówiła, wykreślając wciąż w ten sam żmudny sposób, co wcześniej kolejne litery na dłoni Maćka. Jej słowa wprawiły go w zadumę. Faktycznie, nie wyobrażał sobie, by człowiek głuchoniewidomy mógł normalnie się uczyć czy też w ogóle przetrwać w zwyczajnej szkole, choćby takiej, jak jego liceum. Tu, w murach tego specjalnego ośrodka, zapewniano rezydującym wewnątrz dzieciom i młodzieży z tą niepełnosprawnością wszystko, czego jej było potrzeba – od nauki języka, poprzez wspieranie w rozwijaniu swoich zainteresowań, po ciepłe posiłki. Jednak przecież każdy z tutejszych uczniów będzie musiał go prędzej czy później opuścić i pójść w świat, nawet jeśli będzie dalej wspierany przez osoby trzecie. Nie chodziło wszak o to, by już zawsze ludzie ich pokroju byli skazani na życie na czyjś rachunek, przeciwnie – głównym celem placówki, w której mieszkali i uczyli się, było przygotowanie ich do w miarę samodzielnego egzystowania. A z perspektywy Maćka cel ten był tyleż ważny, co trudny. Już cierpiącym na niesprawność jednego ze zmysłów często układało się bardzo ciężko, a co dopiero musiało spotykać ludzi jednocześnie ślepych i głuchych...

Z tych rozmyślań wyrwała go Anka, zatrzymująca się przed schodami na krańcu przeciwległego do tego, z którego zaczęli wędrówkę po piętrze skrzydła budynku. Orowadzanie tej części placówki dobiegło końca. Wtem spytała, rysując znów litery na jego dłoni:

- Nie jesteś może głodny? Niedługo zaczyna się kolacja, może zejdziemy na dół do stołówki?
- Pewnie – odrzekł krótko, czując, że faktycznie przydałoby się wrzucić coś na żąb. Skierowali się więc ku schodom na parter, a następnie Maciek i jego przewodniczka poszli w stronę dużego, jasnego pomieszczenia, w którym przy kilkudziesięciu stołach siedziało już większość mieszkających w tutejszym internacie wychowanków ośrodka. Anka skierowała się od razu ku środkowi sali, gdzie siedziała samotnie jej wychowawczyni. „Skąd ona wiedziała, że tam ją znajdzie? Czy zawsze siada w tym samym miejscu?” - myślał Maciek.
- Witajcie z powrotem – rzekła, gdy zobaczyła ich zbliżających się do okupowanego przez nią stolika. - Jak się udała wycieczka? - spytała młodzieńca, wyciągając swą rękę ku nastolatce, która natychmiast zaczęła coś mówić Modrzańskiej w alfabecie Lorma.
- Bardzo udana, dziękuję – odparł zwięźle chłopak, nie chcąc zakłócać ich konwersacji. Po krótkiej wymianie zdań pomiędzy obiema kobietami starsza z nich zwróciła się znów do niego:
- Widzę, że byliście prawie wszędzie. Ania mówi, że sporo rozmawialiście o ośrodku i o naszych podopiecznych. Mam nadzieję, że udało się jej zaspokoić twoją ciekawość chociaż trochę.
- O tak – Maciek skwapliwie pokiwał głową. - To jest niesamowite. Wszystko jest tu tak starannie dostosowane do najdrobniejszych potrzeb wszystkich żyjących tutaj ludzi. Robi naprawdę spore wrażenie.
- A opowiadała ci coś o jej codziennej rutynie i w ogóle o tym, jak się tu mieszka i spędza czas? - zapytała.
- Cóż... prawdę mówiąc, to niewiele... - urwał, widząc, że jego rozmówczyni natychmiast zaczyna dawać szybkie znaki swojej wychowance. Ta przybrała na twarzy grymas będący mieszanką rozbawienia i zniecierpliwienia i odpowiedziała jej tym samym dotykowym alfabetem.
- Twierdzi, że nadrobi to później – przetłumaczyła. - No cóż, macie jeszcze trochę czasu, będziecie mogli sobie porozmawiać po kolacji. Na razie jednak chyba trzeba będzie zacząć ustawiać się w kolejce. Mógłbyś mi pomóc? - poprosiła, wstając po uprzednim krótkim komunikacie, który przekazała dotykowo siedzącej obok niej dziewczynie. Chłopak również wstał i podążył za nią ku ustawiającej się już przy okienku, gdzie wydawano posiłki, kolejce złożonej z pracowników ośrodka. Po drodze minęli kilku znajomych już Maćkowi ludzi, takich jak spotkanych na zawodach opiekunów, z którymi rozmawiał tamtego pamiętnego, czerwcowego dnia. Przywitali go serdecznie i spytali go o przebieg wizyty, a po krótkiej, wyrażającej satysfakcję z pobytu odpowiedzi, pożegnali go i odeszli w stronę własnych stolików, gdzie czekali ich podopieczni. W końcu Modrzańska zajęła miejsce w kolejce, a chłopak ustawił się tuż za nią. Gdy dostała się pod okienko, zamieniła kilka słów z kobietą, która wyglądała na kucharkę, wskazując przy tym na Maćka. Tamta kiwnęła głową i gdy pani Agata odeszła, trzymając w rękach tacę z podejrzanie dużą ilością porcji, on podszedł do przodu i otrzymał pojedynczy talerz, dymiący kubek herbaty oraz ciepły uśmiech damy zza okienka, życzącej mu smacznego. Podziękował i podążył za wychowawczynią Anki. Gdy zbliżył się do miejsca, gdzie siedzieli, zrozumiał, po co kobieta wzięła ze sobą aż tyle jedzenia. Przy ich stoliku siedziała już nie tylko Modrzańska i czarnowłosa dziewczyna, ale też jakiś brunet, na oko w jego wieku, oraz niewysoka blondynka. Maciek postawił na blacie przy jedynym wolnym krześle otrzymaną kolację i spojrzał pytająco na opiekunkę. Ta zaś rzekła:
- To jest dwoje innych uczniów z mojej klasy. W piątki zawsze jadam z nimi i z Anią. Mam nadzieję, że

ich obecność ci nie przeszkadza.

- Skądże znowu – zaprzeczył gorąco – ale czy nie powinienem się im przedstawić?

- Racja – powiedziała, i wyciągnęła obie ręce ku prawym dłoniom obojga nieznanych nastolatków, przekazując im krótki, identyczny komunikat. Wstali więc, i, kierowani przez wychowawczynię, zwrócili się w stronę Maćka. Następnie kobieta pchnęła lekko łokieć bruneta, który wyciągnął ku gościowi swoją prawicę. Po wymianie uścisków dłoni nieznany młodzieniec przedstawił się gościowi w podobny sposób, w jaki wcześniej zrobiła to Anka:

- Cześć. Jestem Darek, pierwsza liceum.

- Maciek, druga liceum. Miło cię poznać.

Gdy przyszła kolej na przywitanie się z blondynką, ta, kreśląc bardzo powoli słowa na jego dłoni, powiedziała:

- Witaj, jestem Magda, jestem z pierwszej liceum.

- Hej. Jestem Maciek, skończyłem w tym roku drugą klasę liceum. Miło mi cię poznać.

Po tych cokolwiek schematycznych wzajemnych prezentacjach każdy z wychowanków Modrzańskiej wymienił z nią kilka słów, a następnie wszyscy zabrali się do jedzenia. Spoglądając na siedzących dookoła stołu nastolatków ich gość mógł przekonać się, że spożywanie posiłków również nie sprawiało głuchoniewidomym problemów. Jakoś przywykł też nieco do tego środowiska, w którym zaczął się nagle obracać. Przestały go dziwić niewidzące spojrzenia młodych ludzi, przemierzających wolno korytarze ośrodka, wspomagając się przy tym laskami. Nie zwracał już też uwagi na panującą w tym miejscu niezmaconą niemal ciszę. Ta zresztą była teraz zakłócana przez szcęk sztucców oraz szmer rozmów prowadzonych pomiędzy pracownikami ośrodka a znającymi mowę uczniami, którzy odpowiadali na głos na ich dotykowe komunikaty, jak również przez ciche pogaduszki rozprawiających ze sobą opiekunów, opiekunek i innych członków personelu. Towarzyszący Maćkowi od miesiąca niepokój związany z jego niejasnymi przemyśleniami dotyczącymi ludzi pozbawionych jednocześnie wzroku i słuchu rozwiął się prawie całkowicie, gdyż przekonał się, jak paradoksalnie normalne może być ich życie na tak wielu płaszczyznach, na których, jak dotąd uważał, posiadanie tych dwóch podstawowych zmysłów było więcej niż koniecznością. Choć nadal ten świat, w którym istniał wyłącznie dotyk, węch i smak, był mu ekstremalnie obcy, cieszył się z tego, że stał się tamtego dnia przynajmniej odrobinę bardziej znajomy, podobnie jak ciemnowłosa dziewczyna, o której myślał tak intensywnie od momentu ich spotkania na zawodach, a którą w końcu miał okazję poznać osobiście.

Po skończonej kolacji Maciek wraz z panią Agatą odnieśli naczynia do tego samego okienka, z którego wcześniej wydano im jedzenie, a następnie wrócili do ich stolika. Poświęcając kilka chwil na rozmowę z każdym ze swych wychowanków, Modrzańska zapomniała na chwilę o gościu, który rozejrzał się uważnie w tym czasie po stołówce. Wielu opiekunów rozprawiało żywo ze swymi podopiecznymi, choć, oczywiście, odbywało się to w relacji jeden nadawca – jeden odbiorca. Starali się więc co kilka chwil zwracać się do innych dzieci siedzących wraz z nimi. Poza tym młodzi ludzie rozmawiali też między sobą, tak że cała sala, choć wyjątkowo cicha, wrzała wręcz od bezgłośnych dyskusji. Kiedy wychowawczyni Anki rozmawiała z towarzyszącą im blondynką, Maciek postanowił wykorzystać okazję i zagadał do czarnowłosej:

- Czyli Darek i Magda chodzą z tobą do jednej klasy?

Dziewczyna przytaknęła.

- Darek był nawet w naszej grupie na zawodach. Startował w... chyba w skoku w dal, o ile dobrze pamiętam. Ale nie przypominam sobie, by zajął wysokie miejsce. Jest ciekawą osobą, muszę przyznać. Natomiast Magda jest bardzo cicha. Rzadko kiedy z kimś rozmawia, i ma trochę problemów z nauką. Współczuję jej, ale nie potrafię jej pomóc. Pani Agata stara się, jak może, by stała się bardziej otwarta. Ale zdaję się, że niewiele to pomaga.

„Czyli faktycznie niektórzy tutaj mają większe trudności ze swoją niepełnosprawnością, niż Anka” - pomyślał chłopak. Jemu też zrobiło się żal jasnowłosej dziewczyny, ale wiedział przecież, że znacznie więcej od wyjątkowo dobrze rozwiniętych pomimo swej głuchoślepoty nastolatków było takich, dla których przełamanie bariery zamykającej ich w ciemnym, pozbawionym wyrazu świecie stanowiło wyzwanie, z którym nie radzili sobie za dobrze.

- Chyba jednak wciąż ciężko mi przyzwyczać się do ludzi z twoją przypadłością – przyznał. - Każdy zdaje się tu mieć zupełnie inny zestaw problemów, rozwijając się inaczej i w innym tempie. Ciężko mi to jakoś ogarnąć.

- To normalna reakcja – odrzekła z wyrazem spokoju na twarzy. - Nie musisz się tym przejmować. Może dorastanie z czymś takim nie jest najłatwiejsze, ale przecież wszyscy tu jakoś żyjemy, i nawet potrafimy pokonać widzących i słyszących w ich własnych zawodach – dorzuciła żartobliwie.

Maciek uśmiechnął się i stwierdził, że chyba miała rację. Choć uczucie smutku i współczucia wciąż czało się w jego sercu, gdy patrzył na otaczające go głuchoniewidome starsze i młodsze dzieci, to jednak powoli zaczynał w nim przeważać podziw wobec zdolności radzenia sobie z dnia na dzień, jaką przejawiały – jakiegokolwiek by nie było tempo ich rozwoju. Bo sam fakt, że można jakoś żyć bez dwóch najważniejszych dla człowieka zmysłów, nadal jawił mu się jako cud, którego działanie stale obserwował, rozglądając się po stołówce wypełnionej pograżonymi w błogiej sytości młodymi ludźmi, rozmawiającymi pomiędzy sobą lub z opiekunami, bądź też oddającymi się własnym rozmyślaniom. Jednej rzeczy był całkowicie pewien: fakt, że oni wszyscy byli tu teraz, funkcjonując normalnie, świadczył z całą mocą, że da się żyć bez wzroku i słuchu, nie rezygnując przy tym wcale z człowieczeństwa.

Po krótkiej wspinaczce schodami na najwyższe piętro budynku Anka skierowała się z trzymającym ją za rękę Maćkiem i idącą obok nich Magdą ku pokojom dziewcząt. Blondynka zatrzymała się pod drzwiami pokoju numer dziesięć i tam też się z nią pożegnali, życząc jej dobrej nocy, zanim poszli dalej. Gdy dotarli w końcu do sypialni czarnowłosej, dziewczyna wydobyła z kieszeni klucz, włożyła go do zamka (co uczyniła dopiero po chwili niezgrabnych poszukiwań, w czasie których wspomagała się palcem drugiej dłoni szukając odpowiedniej szczeliny), a następnie przekreśliła go i otworzyła drzwi. Zaprosiła gestem Maćka, by wszedł pierwszy, co chłopak uczynił posłusznie. Gdy oboje znaleźli się w środku ciemnego pomieszczenia, Anka jakby dopiero po chwili przypomniała sobie, że jej gość, w przeciwieństwie do niej, potrzebuje światła, by móc swobodnie poruszać się po pokoju. Podeszła więc prędko do ściany i, naciśnawszy znajdujący się na niej przełącznik, zapaliła wiszącą u sufitu lampę, której żarówka o małej mocy dawała mdły blask, rozświetlający jednak wnętrze dostatecznie dobrze, by nastolatek mógł czuć się komfortowo.

Korzystając z okazji Maciek rozejrzył się po pokoju dokładniej, niż gdy miał ku temu okazję po południu. Przyglądał się po kolei poukładanym równo na półkach książkom, szafie na ubrania, komodzie z leżącymi na jej wierzchu przedmiotami, biurku, ustawionym przy nim krześle, oraz łóżku stojącemu pod oknem. Niecodzienny dla chłopaka porządek, jaki tu panował, sprawił, że postanowił spytać o niego Ankę, która w międzyczasie usadowiła się na posłaniu, najwyraźniej czekając, aż jej gość skończy badać szczegółowo sypialnię.

- Wszystko jest tu tak porządnie ułożone. Nie wyobrażam sobie, bym mógł tak kiedykolwiek posprzątać u siebie.

- Zdaje mi się, że mój pedantyzm jest raczej wymogiem, niż cechą – stwierdziła dziewczyna. - Gdybym miała swoje rzeczy porozrzucane po całym pokoju, w życiu bym ich nie znalazła, a nie lubię się też potykać o graty stojące na środku podłogi.

Po raz kolejny jej słowa wprawiły go w lekką zadumę. Rzeczywiście, dla ludzi, których zdolność orientacji przestrzennej nie opierała się na wzroku, rozsądne rozmieszczenie przedmiotów otaczających ich w miejscu zamieszkania musiało być naprawdę ważne. Ponadto bałaganiarstwo nie tylko mogło im utrudnić życie, ale również zmienić je w koszmar codziennego odszukiwania porzuconego w losowych miejscach dobytku.

- Masz rację – przyznał w końcu. - Wybacz, jeśli cię tym uraziłem.

- Skąd – zaprzeczyła. - Wiem, że nadmierna dbałość o porządek jest często uważana za dziwactwo. Jednak, jak mówiłam, u nas jest to raczej norma. Nie masz czysto – musisz się męczyć z szukaniem tego, czego potrzebujesz pośród otaczającego cię bałaganu. A to zajmowałoby zbyt wiele czasu. Lepiej mieć wszystko poukładane w konkretnych miejscach.

- Widzę, że masz tu sporo książek – rzekł po chwili, chcąc zmienić temat. - Dużo z nich jest naukowych?

- Sporo – przyznała. - Jednak bardzo lubię też fantastykę, mam nawet małą kolekcję na półce po lewej. Na tej z prawej trzymam głównie podręczniki i encyklopedie.

- To wszystko twoje, czy masz tu jakieś wypożyczone z biblioteki?

- Tylko tą, co czytałam dzisiaj – wskazała w stronę biurka, a przynajmniej – w punkt znajdujący się nad nim. Wciąż leżało tam opasłe tomisko, którego lekturę przerwało jej wcześniej przybycie Maćka.

- A co to za książka?

- „Lalka” Prusa – odpowiedziała.

- Lektura szkolna? - Chłopak skrzywił się, choć, oczywiście, dziewczyna nie mogła tego widzieć.

- Pani Agata powiedziała, że powinnam ją przeczytać. Muszę przyznać, że całkiem mi się podoba. Jest ciekawa.

- Nie wiem, nie czytałem – przyznał, choć pamiętał, że omawiali ją przecież w minionym roku szkolnym.

- Powinieneś zacząć – zachęciła go. - Literatura minionych epok wcale nie jest taka zła. Choć osobiście

nie przepadam za Mickiewiczem. Za to lubię dramaty Słowackiego. Bardzo dobrze się je czyta.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę na ten temat, zahaczając również o gusta Maćka, który przyznał, że nie czytuje zbyt wiele, co wywołało z kolei niesmak Anki. Poleciała mu więc kilka ulubionych tytułów i zobligowała do przeczytania ich, na co chłopak przystał w końcu, pomimo pewnego oporu. Wkrótce jednak temat ich rozmowy zmienił się znowu:

- Wychowawczynie mówiła, żebym opowiedziała ci o codziennym życiu tutaj. Ale szczerze mówiąc, ogranicza się ono do wypełniania zwykłej, codziennej rutyny. Nie wiem, czego konkretnie chciałbyś się dowiedzieć.

- Zastanawiam się... czy, kiedy nie ma szkoły, kolejne dni różnią się czymś od poprzednich? Macie jakieś zajęcia w wakacje?

- Ćwiczenia komunikacyjne odbywają się przez cały rok – odpowiedziała. - Zależnie od grupy wiekowej, są albo od poniedziałku do piątku, albo od wtorku do czwartku. Niektórzy z nas nie potrzebują ich tak dużo, więc poniedziałki i piątki przeznaczone są głównie na zajęcia dodatkowe dla chętnych. Oczywiście w trakcie roku szkolnego rozkład ten jest nieco inny. Przez pierwsze pięć dni tygodnia mamy lekcje w szkole, a w weekendy – ćwiczenia z komunikacji. Dodatkowe zajęcia są wtedy zwykle prowadzone popołudniami, oprócz sobót i niedziel. Do tego niektórzy trenują sporty, ale każdy ma swój własny program treningowy. Ja na przykład biegam w poniedziałki, środy i piątki, choć przez zawodami zdarzało się też zarwać niedzielne wieczory. Poza tym dwa ostatnie dni tygodnia są tradycyjnie dniami odwiedzin. Przyjeżdżają do nas rodzice i rodziny... - urwała, jakby zmieszana, jednak po chwili podjęła znów, choć z nutką niepewności wymalowanej na jej twarzy: - To znaczy: do większości z nas.

- Faktycznie, mówiłaś przecież wcześniej, że jutro przyjeżdżają twoi rodzice, prawda? - spytał Maciek, nie zdając sobie sprawy, że najwyraźniej dla Anki jest to niewygodny temat.

- Tak – odrzekła krótko, po czym zaczęła mówić o czymś zupełnie innym. - Każdy dzień musi mieć przynajmniej odrobinę inny harmonogram od pozostałych, głównie po to, by zachować poczucie czasu. Prawdę mówiąc nazwy dni tygodnia czy też godziny są dla mnie trochę abstrakcyjne, dlatego kojarzę je raczej z czynnościami, które mam na ten czas zaplanowane. Tak więc śniadania są zawsze o siódmej trzydziści, szkoła zaczyna się o ósmej, a gdy jej nie ma – mamy przewidziane inne aktywności. Jest też, oczywiście, czas wolny. Obiady mamy o trzeciej, chociaż zawsze można poprosić o coś na drugie śniadanie w stołówce. Kolacje są o dwudziestej, spać idziemy zwykle koło dwudziestej drugiej. Takie szczegółowe rozplanowanie jest konieczne, jeśli nie chcemy się pogubić w tym, jaka jest akurat pora dnia. Dlatego też każda rozbieżność jest czymś wyjątkowym. Na zawodach świetnie się bawiłam, ale wciąż nie mogło mnie opuścić takie dziwne uczucie niepewności co do aktualnego czasu. To było trochę rozprasające.

- A jak wyglądają wasze wzajemne relacje? - zapytał. - Znaczą, pomiędzy tutejszymi dziećmi? Masz chyba znajomych, przyjaciół?

- Owszem – przyznała. - Znamy się tu wszyscy, choć nie ze wszystkimi rozmawiam tak często, jak z innymi. Mam parę fajnych koleżanek z klasy, chłopcy też są w sumie dość mili. Kontakt z maluchami zwykle ogranicza się do pomocy im w założeniu butów czy zaprowadzenia do konkretnych miejsc, jeśli są nowe. Zresztą, zwykle nie są zbyt rozmowne. To w większości przypadków przychodzi dopiero z wiekiem. Chociaż niektórzy, tak jak Magda, nigdy z tego nie wyrastają tak do końca... - znów jakby posmutniała, więc Maciek ponownie zmienił temat.

- Czy macie tu dużo gości? Zakładam, że nie jestem pierwszym, który tu przyjechał zobaczyć, jak się żyje w takich ośrodkach.

- Od czasu do czasu przychodzą wycieczki z krakowskich szkół. Pokazujemy im wtedy wszystko mniej więcej w taki sposób, jak ja wcześniej oprowadzałam ciebie, może tylko mniej szczegółowo. Czasem zajmuje się tym tylko któraś z naszych nauczycielek bądź opiekunek, jednak bywa też, że im towarzyszę, zwłaszcza gdy przychodzą niesłyszący. Wtedy nawet nie trzeba tłumaczyć im moich słów, bo mogę się z nimi porozumiewać na migi. Oczywiście, pytania zadają mi poprzez alfabet dotykowy.

- Spośród tutejszych uczniów tylko ty oprowadzasz te wycieczki?

- Nie zawsze, choć zazwyczaj na to wychodzi. Nie wszyscy znają u nas język migowy, który jest najwygodniejszy w takich sytuacjach, bo nie trzeba wciąż utrzymywać kontaktu fizycznego, by coś komuś powiedzieć.

- Lubisz, gdy do was przyjeżdżają takie szkolne grupy?

- Raczej wolę pojedynczych gości. Kiedy mam do czynienia z większą liczbą ludzi, nie mogę bezpośrednio nawiązać kontaktu z każdym z nich, gdy opowiadam o naszym ośrodku. Ale jak przychodzi jedna lub dwie osoby, jest mi znacznie łatwiej. Wtedy naprawdę sprawia mi przyjemność, że mogę im pomóc lepiej nas poznać.

Rzuciła mu delikatny uśmiech, jakby chcąc podkreślić swoje słowa. Maciek odwzajemnił go odrucho, znów zapominając, jak bardzo było to pozbawione sensu, jednak już się tym nie przejmował. Gawędzili ze sobą jeszcze jakiś czas, a gdy chłopak zerknął na swój zegarek i zobaczył, że powoli zbliża się godzina dziesiąta, rzekł:

- Powinienem już chyba iść, zaczyna się robić późno.

- A która jest?

- Dochodzi dwudziesta druga. Zdaje się, że miałaś męczący dzień, ja sam zresztą chętnie bym się położył spać.

- W takim razie dobrej nocy. Nie zapomnij wstać na śniadanie o siódmej trzydziści. Spotkamy się jutro na stołówce.

- Miłych snów – rzucił na pożegnanie, zastanawiając się, czy było to najlepsze życzenie. Nie zrobiło chyba jednak złego wrażenia na dziewczynie, więc uścisnął jej wyciągniętą na pożegnanie rękę i skierował się ku drzwiom na korytarz, a gdy zamknęły się za nim, ruszył na parter, gdzie miał przygotowany do swej dyspozycji pokój gościnny.

Plecak, który zostawił tam wcześniej przy pościelonym teraz łóżku, czekał na niego w tym samym miejscu, w którym go położył. Maciek wydobyl z niego piżamę, przebrał się szybko i wskoczył na posłanie, nie przykrywając nóg kołdrą z powodu panującego w pomieszczeniu ciepła. Splótł ze sobą dłonie i podłożył je pod głowę, oddając się rozmyśleniom na temat przeżytych tamtego dnia wydarzeń. Przeżywał wciąż na nowo przybycie do placówki dla głuchoniewidomych dzieci i młodzieży, rozmowę odbytą z panią Modrzańską, nawiązanie znajomości z Anką, wspólny trening, zwiedzanie ośrodka, kolację oraz świe-

żną jeszcze w jego pamięci rozmowę odbytą z czarnowłosą w jej pokoju. Nie spodziewał się, że tak łatwo uda im się zbliżyć do siebie na tyle, by już pierwszego dnia móc prowadzić tak szczerą oraz pełną wzajemnej życzliwości i sympatii rozmowę. Żałował tylko, że następnego dnia będzie musiał wrócić do domu, postanowił jednak chwilowo nie zaprzętać tym sobie głowy i skupić się raczej na perspektywie wspólnie spędzonego z ciemnowłosą dziewczyną poranka. Zastanawiając się, co czeka go następnego dnia, westchnął lekko, nastawił w komórce budzik na siódmą piętnaście i zgasił stojącą na nocnym stoliku, rozświetlającą wnętrze pomieszczenia lampkę. Następnie okrył się kołdrą i przewrócił się na prawy bok, przez następne pół godziny próbując bezskutecznie zasnąć.

Dźwięk rozbrzmiewający z telefonu rozbrzmiał punktualnie, wrywając Maćka z urwanego w połowie snu. Mamrocząc pod nosem, sięgnął ręką, by go wyłączyć, a gdy to uczynił, ziewnął mocno i rozejrzał się po oświetlonym przez promienie słoneczne pokoju. Próbuąc się rozbudzić, chłopak potarł dłońmi twarz w nadziei, że odegna to choć trochę niewyspanie. W końcu wstał, założył wyciągniętą z plecaka świeżą bieliznę, dzinsy oraz schowaną na dnie tornistra czerwoną koszulkę, i wyszedł na korytarz, kierując się ku stołówce. Napotykać po drodze zdążających w tą samą stronę opiekunów, witających go serdecznie, oraz idących powoli, wspomagających się białymi laskami młodych ludzi, dotarł w końcu na miejsce i zaczął szukać wzrokiem Anki. Odnalazł ją siedzącą przy stoliku w rogu sali wraz z dwoma innymi dziewczynami oraz jakąś nieznaną chłopcu kobietą. Gdy podszedł bliżej, ta ostatnia wstała i, uśmiechając się grzecznie, przywitała go:

- Ty pewnie jesteś Maciek? Bardzo mi miło. Barbara Stasiewicz, pracuję tu jako psycholog.

Młodzieniec również wymienił wyrazy uprzejmego powitania, ściskając przy tym wyciągniętą ku niemu dłoń. Następnie został zapoznany z koleżankami czarnowłosej: wysoką szatynką imieniem Olga oraz rudą dziewczyną, która przedstawiła się jako Anna. Powiedział też „dzień dobry” tej Annie, którą poznał poprzedniego dnia. Gdy już wszyscy przy stole byli świadomi jego obecności, razem z panią Barbarą udał się do okienka po odebranie posiłków. Śniadanie przebiegało podobnie, jak kolacja – wszyscy jedli w skupieniu, zaś po kilkunastu minutach stołówka zaczęła się stopniowo wypełniać szmerem rozmów prowadzonych po cichu przez dorosłych, a ich wychowankowie zaczęli się z kolei oddawać bezgłośnym konwersacjom ze swoimi sąsiadami. Maciek wymienił parę słów ze świeżo poznanymi nastolatkami, opowiadając im, skąd przyjechał, ile ma lat i tak dalej. W końcu zwrócił się do czarnowłosej Anki:

- Jakie masz plany po śniadaniu?

Dziewczyna zastanowiła się.

- Nie pokazałam ci jeszcze terenu dookoła ośrodka. Chcesz potem wyjść ze mną na pole?

- Chętnie – zgodził się szybko. - Widziałem, że macie tu bardzo ładne trawniki. Latem musi być fajnie na nich leżeć i odpoczywać.

- Można stracić poczucie czasu, gdy leży się na nich za długo – odrzekła z uśmiechem. - Ale możemy się tam wybrać i trochę pospacerować.

Po skończonym posiłku rozeszli się więc na chwilę – Anka do swojej sypialni, a Maciek do pokoju gościnnego, gdzie w plecaku miał schowane mydło, szczoteczkę i pastę do zębów, jak również ręcznik. Po

szybkim myciu zostawił swoje rzeczy w przeznaczonej dla niego sypialni i udał się w kierunku wyjścia. Spotkał nastolatkę w holu, ubraną w krótkie spodenki beżowego koloru oraz lekką, zieloną bluzkę. Na bosych stopach nosiła zaś brązowe sandały. Gdy zakomunikował jej, że jest gotowy, wzięła go za rękę i, stukając przed sobą białą laską, wyszła na zewnątrz za przytrzymującym dla niej drzwi Mackiem.

Słońce świeciło jasno na bezchmurnym niebie, przygrzewając rażno. Dziewczyna poprowadziła gościa przez zielony trawnik ku tylnej części terenów placówki. Było tam coś w rodzaju małego parku, na który składał się kawałek terenu luźno obsadzonego drzewami, pomiędzy którymi ciągnęła się wydeptana w trawie ścieżka. Przy niej zaś co kilkanaście metrów umiejscowione były ławki podobne do tych, które chłopak widział przy froncie budynku. Nieopodal widać było plac zabaw, na którym bawiło się kilkoro maluchów, pilnowanych przez dwie obserwujące je uważnie kobiety. Dalej zaś mieściła się duża sala gimnastyczna, połączona krótkim, niskim korytarzem z parterem głównej części placówki. Anka skierowała się w stronę drzew i, wymacawszy laską jedno z nich, usiadła pod jego pnem. Maciek uczynił to samo, sadowiac się obok niej.

- Widzisz tamtą wystającą konstrukcję? - wskazała mniej więcej w stronę hali sportowej. - Wnętrze nie różni się podobno od innych tego typu rzeczy. Mamy tam duży parkiet, na którym zwykle prowadzone są lekcje WF-u. Czasem odbywają się też tańce, chociaż rzadko, bo mamy salę taneczną na górze. - Zamilkła na chwilę, by spytać w końcu, z pewnym entuzjazmem, jakby chciała to zrobić od dawna:

- A jak to wygląda w normalnej szkole?

- Ale co? - Maciek nie zrozumiał pytania.

- Wszystko. Lekcje, przerwy, zajęcia sportowe. Nie wiem nawet, jak żyją pełnosprawne dzieci, i jak wygląda życie w ich środowisku. Nikt nigdy mi o tym nie opowiadał – dokończyła ze smutkiem na twarzy.

Czując, że powinien się zrewanżować za to wszystko, co dla niego zrobiła, chłopak zastanowił się i po chwili zaczął kreślić na jej dłoni słowa opisujące jego codzienność. Choć były to rzeczy najzupełniej normalne dla każdego typowego nastolatka, ona jednak chłonęła je jako coś nowego i ciekawego. Opisy lekcji, wyglupów uskutecznianych przez uczniów podczas zajęć, chwil błęgiego nieróbstwa na przerwach, spędzanych na dziedzińcu lub, w przypadku złej pogody, na wałęsaniu się tam i z powrotem po szkole, metod ściągania na sprawdzianach i radzenia sobie z nudą w klasie... To wszystko zdawało się niezwykle pasjonować Ankę, nieznającą tego kolorowego, głośnego świata, w którym Maciek obracał się na co dzień. Przekazywanie jej tego wszystkiego było bardzo zmuśnionym zajęciem, podobnie męczące musiało być dla niej odbieranie jego słów, jednak mimo wszystko oboje bardzo wciągnęli się w rozmowę. Gdy zadawała mu pytania, on udzielał na nie odpowiedzi dopiero po kilku sekundach namysłu. Starał się używać jak najbardziej zwięzłych zwrotów, przekazując nimi jednocześnie jak najwięcej informacji. Choć nie uważał tego, co jej mówił, za ciekawe, widział, jak czarnowłosa jest zaintrygowana opisami najzwyklejszego ludzkiego życia, jakie może istnieć, i nie szczędził jej szczegółów dotyczących normalnej szkoły, która dla niego była szarą codziennością, a dla niej – odległą, nieosiągalną rzeczywistością.

Kiedy skończył, siedziała przez chwilę nieruchomo, odchyliwszy głowę do tyłu tak, że promienie słońca padały prosto na jej oblicze. Lekki wietrzyk muskał jej włosy, a gdy przymknęła oczy, Maciek raz jeszcze zwrócił uwagę na jej niesamowitą urodę, potęgowaną wówczas dodatkowo przez otaczającą ich zielen trawy i drzew, na tle których Anka wyglądała jak odpoczywająca bogini, skąpana w świetle gorącego przedpołudnia. Choć trwało to zaledwie chwilę, siedzący obok niej chłopak czuł, jakby ten moment miał ciągnąć się wiecznie. Mógł w nieskończoność patrzeć na jej spokojną, uśmiechniętą delikatnie twarz, za-

stygłą w wyrazie cudownego rozmarzenia.

- Musisz mieć ciekawe życie – stwierdziła w końcu, gdy znów odwróciła się w jego stronę, i zaczęła ponownie kreślić słowa na jego dłoni.

Przez grzeczność nie zaprzeczył. Wiedział bowiem, że choć on sam określiliby je jako zwyczajne do bólu, to jednak, mając możliwość odbierania bodźców z otaczającej go rzeczywistości za pomocą tych zmysłów, których ona nawet nie zna, nie mógł nawet porównywać go z jej ciemnym i cichym światem, na który była skazana już od momentu narodzin. Poklepał ją więc po dłoni, nie bardzo wiedząc, co ma odpowiedzieć, i razem z nią milczał jeszcze dobre kilkanaście minut, nim postanowili wrócić do ośrodka.

Chcąc w jakiś sposób wypełnić czas, który pozostał im do czasu przybycia rodziców Anki, postanowili zagrać ze sobą w warcaby. Na pierwszy rzut oka pionki nie różniły się niczym od tych, jakie Maciek widywał wcześniej, jednak szybko przekonał się, że powierzchnia krążków białych była inna w dotyku od czarnych. Po rozstawieniu ich na planszy zaczęli więc rozgrywkę. Chłopak sygnalizował jej lekkimi szturchnięciami koniec swoich ruchów, po czym czarnowłosa przeznaczała chwilę na zbadanie dłonią, gdzie i który pionek został przez niego przesunięty. Było to i tak szybsze, niż gdyby jej za każdym razem o tym mówił, i znacznie bardziej taktowne, niż podsuwanie jej ręki na pola, które okupował umieszczony tam przez nastolatka kawałek plastiku. Gra odbywała się w pokoju dziewczyny, która posiadała własny zestaw do warcabów, choć na dole w świetlicy znajdował się podobny. Z jakiegoś powodu nie chciała tam jednak przebywać, Maciek zaś nie miał zamiaru pytać o powód.

Kolejne rozgrywki przemijały im szybko, aż w końcu jedna z nich została przerwana przez wchodzącą do pokoju panią Modrzańską.

- Dzień dobry – powiedziała, widząc młodzieńca.

- Dzień dobry – odrzekł chłopak i zakomunikował Ance, że właśnie przyszła jej wychowawczyni. Czarnowłosa wstała więc i wyciągnęła rękę do zbliżającej się kobiety, która, pochwycając ją, szybko przekazała coś głuchoniewidomej alfabetem Lorma. Dziwny grymas przebiegł po twarzy dziewczyny, która nie odpowiedziała jednak niczego pani Agacie. Ta zaś rzuciła w stronę Maćka:

- Obawiam się, że Ania musi cię pożegnać. Właśnie przyszli jej rodzice i chcieliby spędzić z nią trochę czasu sam na sam.

- Oczywiście – rzucił chłopak i ujął lekko dłoń czarnowłosej, zwisającą swobodnie u jej boku.

- Będę się zbierał – wypisał palcem na rękę nastolatki. - Nie będę ci przeszkadzał podczas wizyty rodziców.

- Rozumiem – odrzekła, a z jej postawy i flegmatycznych ruchów emanował dziwny smutek. - Miło było cię poznać.

- Mi ciebie również – powiedział, a następnie wyszedł wraz z obiema kobietami, które, jak poinformowała go starsza z nich, szły na dół przywitać mamę i tatę dziewczyny. Dodała też tonem wyjaśnienia (sprawiając przy tym jednak wrażenie, jakby nie wiedziała, czy jej wypada), że z jakiegoś powodu jej po-

dopieczna nie lubi przyjmować ich w swoim pokoju.

Gdy wszyscy troje zeszli na parter, Maciek pożegnał się z jego towarzyszami i udał się do pokoju gościnnego, by zabrać stamtąd swoje rzeczy. Zapakował do plecaka rzucone na stolik przybory do mycia, sprawdził raz jeszcze, czy niczego nie zostawił, a następnie wyszedł na korytarz i skierował się ku wyjściu z budynku.

Był już w holu i miał właśnie powiedzieć „do widzenia” pani recepcjonistce, kiedy nagle usłyszał dziwny krzyk dobiegający ze strony świetlicy. Zaintrygowany, poszedł tam sprawdzić, kto może robić tyle niepokojącego hałasu w ośrodku tego rodzaju.

Wkrótce stanął u progu sali, w której przebywało kilkoro zdających się nie zauważać niczego dzieci, i schował się za wejściem, tak, by nie można go było dostrzec z wnętrza pomieszczenia, na środku którego zauważył odwróconą do niego plecami parę. Za nią zaś stała bardzo wzburzona Anka i mocno zmieszana pani Modrzańska. Nieznany mężczyzna, choć Maciek nie mógł dostrzec wyrazu jego twarzy, również był wyraźnie zakłopotany, natomiast towarzysząca mu kobieta kucnęła przed czarnowłosą i ujęła delikatnie jej dłoń, próbując zapewne coś powiedzieć. Tamta jednak wyrwała swą rękę z lekkiego uścisku i zaczęła gestykulować żywo w języku migowym, wydając znowu usłyszany wcześniej przez chłopaka histeryczny, płaczący ryk. Jej twarz, cała zaczerwieniona, zaczęła po chwili moknąć od spływających z jej niewidzących oczu łez, towarzyszących artykułowanym przez ruchy dłoni słowom. Wyglądało to tak, jakby pokłóciła się ze swymi rodzicami i w tej chwili starała się wykrzyknąć bezgłośnie to, co miała do powiedzenia, odmawiając jednocześnie kontaktu fizycznego, by odciąć możliwość odebrania zwrotnego przekazu. Choć cała scena nie zwracała na siebie zbyt dużej uwagi (obserwowało ich zaledwie kilku opiekunów pilnujących przebywające w świetlicy dzieci), to dziwaczne zachowanie Anki oraz jej sprzeczka ze stojącymi przed nią ludźmi wydawały się być na tle panującego w ośrodku spokoju i ciszy karczemną awanturą. Gwałtowność pełnych złości i rozpacz gestów nastolatki kontrastowała w straszny sposób z jej zwyczajną pogodą ducha, spokojem i opanowaniem. Sprawiała niemal wrażenie, jakby nie była tą samą dziewczyną, z którą Maciek miał przez niecałą dobę tyle miłych, wspólnie spędzonych chwil. Stał więc na progu sali, w której odbywała się kłótnia, nie dbając dłużej nawet o to, by go nie zauważono. W końcu spostrzegła go więc pani Agata, na której twarzy malowała się mieszanina niepokoju, zmęczenia oraz zrezygnowania. Kobieta dała sygnał którejś ze stojących nieopodal opiekunek, by zajęła się Anką, a sama skierowała się w stronę chłopaka, jakby zapanowała pomiędzy nimi milcząca zgoda, iż powinno się mu wyjaśnić całą sytuację.

Siedząc w pustym przedziale pociągu Maciek patrzył przez okno na przesuwający się w oddali las. Oparł głowę o zimną szybę, rozmyślając smutno o końcowych chwilach spędzonych w ośrodku.

Raz po raz przypominał sobie ostatnią rozmowę z Modrzańską, która odbyła się w tym samym pokoju, w którym spotkali się po raz pierwszy. Dowiedział się od niej, że Anka, mając już i tak niezbyt dobre stosunki z rodzicami, którzy – jak sądziła dziewczyna – poświęcali jej za mało czasu, zareagowała tak gwałtownie na wieść o tym, że zamierzają się wyprowadzić za granicę, zostawiając córkę w Polsce. To redukowało bardzo małą i tak już liczbę odwiedzin, które jej składali w ciągu roku, praktycznie do zera.

- Tak naprawdę Ania czuje się bardzo samotna – mówiła mu z wyrazem rezygnacji na twarzy. - Często nazywa mnie swoją jedyną, prawdziwą przyjaciółką. To bardzo pochlebne, ale również niepokojące. Owszem, jej stosunki z innymi dziećmi są dobre, ale wydaje mi się, że nie znajduje wśród nich odpo-

wiedniego dla siebie towarzystwa. Nasi pozostali wychowankowie nie są aż tak komunikatywni, jak ona, często mają problemy ze spowolnionym rozwojem psychicznym, nie są w stanie prowadzić z nią zbyt długich i złożonych rozmów, nawet w dobrze opanowanych przez nich formach komunikowania się. Więc w sytuacji, kiedy jedynymi znanymi jej – poza mną i innymi pracownikami ośrodka – ludźmi, z którymi mogłaby pogadać jak równa z równymi, są jej wiecznie zagonieni rodzice, czuje się naprawdę bardzo, bardzo samotna. Stara się tego nie okazywać i jakoś to sobie rekompensować przez ciągłą naukę nowych rzeczy, poprzez bieganie, a gdy nadarzy się okazja – oprowadzając szkolne wycieczki i innych gości po naszej placówce. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, ile radości sprawiłeś jej, przyjeżdżając tutaj, a pewnie ucieszyłaby się znacznie bardziej, gdyby wiedziała, że tak naprawdę zrobiłeś to przede wszystkim dla niej.

Gdy słuchał tych smutnych słów, Maciek doznawał coraz większego przygnębienia. Nie spodziewał się, że spośród tylu ludzkich, normalnych uczuć ta głuchoniewidoma dziewczyna przeżywa najwięcej właśnie tego najgorszego ze wszystkich: samotności. Na myśl, że jej pozbawiony obrazów i dźwięków świat jest pusty również w środku, a ona, opuszczona i zostawiona praktycznie samej sobie, nie może znaleźć nikogo, kogo mogłaby zaprosić do środka, spuścił głowę i zapatrzył się w podłogę. Gdyby nie jej niepełnosprawność, nie musiałaby wciąż przebywać w tamtym ośrodku, miałaby szansę poznać wielu ludzi i odnieść w życiu wiele sukcesów, nie tylko w szkole czy w karierze zawodowej, ale również prywatnych. Przecież jest taka towarzyska, miła, ciepła, otwarta i sympatyczna. Dlaczego nie może odnaleźć wśród rówieśników choćby jednego, prawdziwego przyjaciela?

Czuł, że to nie w porządku, że nie tak powinno wyglądać jej życie. Była w stanie pokonać tyle przeszkód, nauczyć się tak wielu rzeczy i osiągnąć naprawdę bardzo, bardzo wysoki poziom rozwoju, jak na kogoś z jej przypadłością. I gdy już sądził, że jest panią życia, radzącą sobie w nim lepiej bez wzroku i słuchu, niż wielu pełnosprawnych ludzi, okazało się, że nie mogła weń odnaleźć najważniejszego. Przecież to nie powinno być tak. Nie powinno.

Ale co on mógł z tym zrobić? Siedząc w sunącym w stronę jego rodzinnego miasta pociągu zamyślił się głęboko. Wiedział, że nie była mu obojętna, ba – darzył ją czymś więcej, niż zwykłym zainteresowaniem, teraz mógł to stwierdzić z pełną mocą. Może i nie było to wielkie uczucie, a raczej fascynacja połączona z przywiązaniem, ale sądził, że już to samo obliguje go do tego, by nie zostawiać jej samej.

Jednego był pewien: nie była to ostatnia wizyta, którą jej złożył.

Trzymając jego rękę tydzień później patrzyła na niego niewidzącym wzrokiem z wyrazem lekkiego niedowierzania na twarzy.

- Myślałam, że nie przyjedziesz już tu więcej, skoro zwiedziłeś ostatnim razem cały ośrodek.

- Postanowiłem, że odwiedzę cię jeszcze raz – przyznał bez ogródek, wykreślając sprawnie litery na jej dłoni. - Wiesz, zacząłem ostatnio uczyć się Lorma, by było nam w przyszłości łatwiej rozmawiać.

Spoglądając na nią nie odczuwał już żadnych wątpliwości. Mogła pomyśleć, że się nad nią lituje, bawi się z nią, stara się z niej zakpić w ten czy inny sposób swoją obecnością, ale on się tym nie przejmował. Pragnął móc znajdować się przy niej tak często, jak to tylko było możliwe. Był przekonany, że w wakacje nie będzie miał żadnych problemów z tym, by przyjeżdżać do Krakowa choćby w weekendy, sądził też,

że podczas trwania roku szkolnego też nie powinien mieć z tym kłopotów. Wiedział jednak, że bez względu na wszystko musi ją wspierać choćby tym, że jest dla niej tu i teraz, że chce z nią rozmawiać, wspierać ją. Że chce być jej przyjacielem.

Nie był pewien, czy ją kocha, ale to nie liczyło się w tym momencie. Ta jedna głuchoniewidoma dziewczyna wzbudziła w nim więcej emocji, niż jakikolwiek inny człowiek w jego wcześniejszym życiu. Nie mógł przecież tak po prostu jej zignorować. Czuł, że to by było nie w porządku nie tylko wobec własnych uczuć, ale przede wszystkim wobec niej. Dlatego ujął znów jej prawą dłoń w swoją lewą, i, sunąc delikatnie opuszką wskazującego palca po miękkiej, delikatnej skórze dziewczyny, wykreślił na niej następujące pytanie:

- Pójdziemy razem pobiegać?

Anka wciąż wpatrywała się w jego twarz, nic oczywiście nie widząc. Zmarszczyła dziwnie brew, jakby zastanawiając się, czy jej gość mówi poważnie. Jednak nagle parsknęła śmiechem i odpowiedziała mu:

- Daj mi chwilę, tylko się przebiorę.

Gdy zamykała drzwi do swego pokoju, Maciek dojrzał na jej twarzy szeroki, pełen szczęścia uśmiech, który nieudolnie próbowała zamaskować. Westchnął z ulgą. Gdy tak stał i czekał, aż czarnowłosa dziewczyna będzie gotowa, nie wiedział, że z końca korytarza obserwuje go pani Agata. Zobaczywszy, jak Anka wychodzi z pokoju, przygotowana do treningu, zeszła szybko po schodach tak, by chłopak nie zauważył, że na niego patrzyła. Zaraz też odetchnęła lekko i uśmiechnęła się pod nosem, wiedząc, że jej wychowanka poczyniła właśnie pierwszy krok ku nawiązaniu nowej, wspaniałej przyjaźni.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

PookyFan, dodano 10.01.2014 10:58

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.